

To swoista kronika izraelskich działań wywiadowczych, którym zdaje się przyswiewać motto: „Za nic nie przeproszą, niczego nie żalą, nigdy nie mów „nigdy-1” – to niemożliwe”.  
gen. Gromosław Czempirski

DAN RAVIV  
& YOSSI MELMAN  
**Szpieczy Mossadu  
i tajne wojny Izraela**

# Gazeta Kulturalna

ISSN 1734-3240

Miesięcznik Rok XXIX Nr 8(336) Żelów, sierpień 2024

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

## W numerze:

**Wiersze:** Roberta Bolaño, Magdaleny Cybulskiej, Leszka Gordzieja, Janusza Orlikowskiego, Iwony Pinno, Bogdana Stangrodzkiego, Agnieszki Tomczyszyn-Harasymowicz, Ewy Zajączowskiej-Hynas

**Andrzej Dębkowski** – 15 lat bez Leszka Kołakowskiego

**Józef Baran** – Ławeczka Barana (21)

**prof. Maria Szyszkowska** – Filozofia codzienności (214)

**prof. Ignacy S. Fiut** – Poezja w drodze

**Stefan Jurkowski** – Dwa Michały

**Joanna Friedrich** – Szczęście w nieszczęściu

**Andrzej Walter** – Poezja w wymiarze kojącym

**Kazimierz Ivosse** – Narastanie ciemnych czasów

**Mirosław Osowski** – Moja walka z rakiem (59)

**Eugeniusz Kurzawa** – Spis treści (23)

**Juliusz Wątroba** – „Literaci”

**prof. Grzegorz Bazylak** – Potęga i strategia dezinformacji

**Mirosław G. Majewski** – Droga na cmentarz

**Andrzej Zaniewski** – Sława, chwala... żal

**Paweł Kuszczynski** – Sonety wołają

Witryna

Opinie

Noty

Poglądy

Informacje

Kronika

Konkursy

Szkice

Eseje

Publicystyka

Felietony

Krytyka

Filozofia



Z cyklu: Pejzaże Polski

Fot. Andrzej Dębkowski

## Kronika

## Jerzy Stuhr nie żyje



w Krakowie.

9 lipca 2024 roku zmarł **Jerzy Stuhr** – polski aktor teatralny, dubbingowy i filmowy, reżyser, filolog, pedagog i pisarz, profesor sztuk teatralnych. Urodził się 18 kwietnia 1947 roku

Uznawany za jednego z najwybitniejszych i najpopularniejszych polskich aktorów. W swoich filmach i rolach aktorskich często prezentował losy polskiego inteligenta. Laureat Polskiej Nagrody Filmowej za rolę drugoplanową w filmie *Persona non grata* (2005) i nagrody specjalnej Orła za osiągnięcia życia (2018). W 2008 nagrodzony Złotą Kaczką i wybrany najlepszym aktorem komediowym stulecia. W latach 1990-1996 oraz 2002-2008 rektor Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej im. Ludwika Solskiego w Krakowie.

Ukończył polonistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim i Wydział Aktorski Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Krakowie. W 1990 roku habilitował się na Akademii Sztuk Teatralnych w Krakowie. W 1994 roku uzyskał tytuł profesora sztuk teatralnych.

Rozpoczął pracę jako aktor w Starym Teatrze w Krakowie, w którym zadebiutował rolą Belzebuba w *Dziadach*, a następnie zagrał m.in. Wysockiego w *Nocy listopadowej*, Piotra Wierchowienieckiego w *Biesach* i Jaszę w *Wiśniowym sadzie*. Na wielkim ekranie zadebiutował jako stażysta w filmie Hieronima Przybyła *Milion za Laure* (1971). W kolejnych latach zagrał epizody m.in. w filmach Andrzeja Żuławskiego, Jerzego Gruzy i Antoniego Krauze. Wziął udział, kreując postać reżysera Jerzego Burskiego, w zdjęciach próbnych do filmu Andrzeja Wajdy *Człowiek z marmuru* (1976).

W 1976 roku zagrał swoją pierwszą główną rolę filmową – Antoniego Gralaka, młodego mężczyzny, który po opuszczeniu zakładu karnego po trzech latach odsiadki próbuje ułożyć sobie nowe życie w realiach Polski lat 70. XX wieku, w filmie Krzysztofa Kieślowskiego *Spokój* (1980). W tym okresie zagrał jeszcze w dwóch innych filmach reżysera: asystenta Stefana Bednarza w *Bliźnię* (1976) i Filipa Mosza, głównego bohatera *Amatora* (1979)[31]. W 1978 premierę miały dwa filmy, w których zagrał główną rolę: *Wodziej* Feliksa Falka i *Seans* Sławomira Idziaka, a także film Andrzeja Wajdy *Bez zniczenia*.

W 1977 roku na XV Krajowym Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu wykonał piosenkę pt. *Śpiewać każdy może*.

W 1980 roku wyjechał do Włoch, gdzie w kolejnych latach wystawiał spektakle teatralne[35]. Nawiązał także współpracę pedagogiczną ze Szkołą Teatralną w Bolonii, Teatro Stabile w Triście i Università degli Studi di Palermo oraz prowadził kursy aktorskie na Festiwalu Aktorów we Florencji. W 1982 za rolę w *Mątwie* Witkacego, wystawionej na Międzynarodowym Festiwalu Teatralnym w Spoleto, otrzymał Nagrodę Krytyki Włoskiej dla najlepszego aktora zagranicznego we Włoszech za „opanowanie języka włoskiego i jakość interpretacji”. W tym okresie zaczął występować z recitalem Patricka Süskinda *Kontrabasista*.

Szeroką rozpoznawalność w Polsce zapewniła mu rola Maksa Paradysa w filmie Juliusza Machulskiego *Seksmisja* (1983). Umiejętności komediowe zaprezentował również w innych filmach z lat 80.: *Kingsajz* (1988), *Dekalog X* (1988) czy *Obywatel Piszczyk* (1989).

W 1994 roku zadebiutował jako reżyser filmowej produkcją *Spis cudzołóżnic* (1995). Następnie zagrał pięć ról w wyreżyserowanych przez siebie *Historiach miłosnych* (1997), za które otrzymał nagrodę za najlepszy film zagraniczny na festiwalu filmowym we Włoszech (Cinecittà) i które zaprezentował na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Wenecji. Wykreował także komediową postać komisarza Ryby w filmie Juliusza Machulskiego *Kiler* (1997) oraz w jego kontynuacji, *Kiler-ów 2-óch* (1999).

Zagrał główną rolę w wyreżyserowanym przez siebie filmie *Pogoda na jutro* (2003), za który otrzymał wiele międzynarodowych nagród.

Otrzymał wiele orderów i odznaczeń, m.in.: 2011 – Krzyż Komandorski z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski „za wybitne zasługi dla kultury polskiej, za osiągnięcia w twórczości artystycznej oraz działalności pedagogicznej”, 1997 – Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski „w uznaniu wybitnych zasług dla kultury narodowej”, 2005 – Złoty Medal „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”, 2000 – Krzyż Kawalerski Orderu Zasługi Republiki Włoskiej, 2014 – Order Uśmiechu.

Źródło fotografii:

[https://pl.wikipedia.org/wiki/Jerzy\\_Stuhr](https://pl.wikipedia.org/wiki/Jerzy_Stuhr)

## Zmarł Edward Redliński



30 czerwca 2024 roku w Warszawie zmarł **Edward Redliński** – polski prozaik, scenarzysta i dramaturg, reporter. Urodził się 1 maja 1940 roku w rodzinie chłopskiej we Frampolu, obecnie siedlisko w gminie Juchnowiec Kościelny.

Ukończył studia na Wydziale Geodezji i Kartografii Politechniki Warszawskiej oraz Studium Dziennikarskie Uniwersytetu Warszawskiego. Pracował w „Gazecie Białostockiej”, białostockim radiu oraz w warszawskim tygodniku „Kultura”. Autor groteskowo-realistycznych powieści i opowiadań, ukazujących konflikt między kulturą tradycyjną a nowoczesnością, jeden z najśłynniejszych pisarzy związanych z Białostoczną.

Opublikował: Proza: *Listy z Rabarbaru* (1967), *Awans* (1973), *Konopielka* (1973), *Niki-formy* (1982, zbiór krótkich form), *Dolorado* i *Tańcowały dwa Michały* (1985, mikropowieści o nowej emigracji polskiej w Stanach Zjednoczonych), *Szczuropolacy* (1994), *Krfotok* (1998), *Transformejszen* (2003), *Telefrenia* (2006), *Debata, czyli bzik prezydencki* (2008).

Reportaże: *Ja w nerwowej sprawie* (1969), *Zgrzyt* (1971).

Dramaty: *Pustaki* (1980), *Wcześniak* (1977), *Awans* (1973), *Jubileusz* (1975), *Cud na Greenpoincie* (1995).

W latach 1984-1991 przebywał w Stanach Zjednoczonych. Odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi oraz Odznaką „Zasłużony Działacz Kultury”.

Źródło fotografii:

[https://pl.wikipedia.org/wiki/Edward\\_Redli%C5%84ski](https://pl.wikipedia.org/wiki/Edward_Redli%C5%84ski)

## Odszedł Andrzej Mularczyk



21 czerwca 2024 roku zmarł w Warszawie **Andrzej Edward Mularczyk** – polski pisarz, scenarzysta filmowy, autor reportaży, twórca słuchowisk radiowych. Urodził się 13 czerwca 1930 w Warszawie.

Debiutował literacko w konspiracyjnym piśmie „Dźwigary” w 1943 roku. W 1949 rozpoczął działalność dziennikarską, jednocześnie studiując na Wydziale Dziennikarstwa Uniwersytetu Warszawskiego. Studia te ukończył w 1955, w tym samym roku wstąpił do Związku Literatów Polskich.

W 1953 roku nawiązał współpracę z Polskim Radiem. Był reporterem i publicystą tygodnika „Świat”. W 1964 roku został członkiem Stowarzyszenia Filmowców Polskich. W latach 1970-1977 pracował jako kierownik literacki w Zespole Filmowym Iluzjon. Członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich i Polskiej Akademii Filmowej.

Wśród około 40 filmów powstałych na podstawie jego scenariuszy znalazły się trylogia *Sami swoi*, *Nie ma mocnych* i *Kochaj albo rzuć*, a także serial telewizyjny *Dom*. Współtworzył również scenariusz do filmu *Katyni* Andrzeja Wajdy. Autor publikacji *Post mortem: Katyni – opowieść filmowa* poświęconej zbrodni katyńskiej. Pod pseudonimem Andrzej Jurek wspólnie z Jerzym Janickim napisał scenariusz filmu *Licze na wasze grzechy*.

Syn legionisty Józefa Mularczyka, był bratem pisarza Romana Bratnego.

Został odznaczony m.in.: 1975 – Medalem Komisji Edukacji Narodowej, 1988 – Nagroda I stopnia Ministra Obrony Narodowej w dziedzinie literatury, 1996 – Honorowym Wielkim Splendororem, 2001 – Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski (za wybitne zasługi w pracy artystycznej), 2001 – Super Wiktoorem za całokształt twórczości, 2005 – Diamentowym Mikrofonem (za wszechstronną twórczość radiową, szczególnie w dziedzinie dramaturgii oraz za współtworzenie przez 45 lat wyjątkowej powieści radiowej „W Jezioranach”, 2010 – Srebrnym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”, 2011 – Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski (za wybitne zasługi dla Polskiego Radia).

Źródło fotografii:

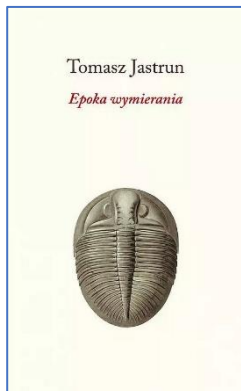
[https://pl.wikipedia.org/wiki/Andrzej\\_Mularczyk](https://pl.wikipedia.org/wiki/Andrzej_Mularczyk)



Rys. Barbara Medajska

Andrzej Walter

# Poezja w wymiarze kojącym



Tomasz Jastrun  
*Epoka wymierania*



Żyjemy w martwym świecie marionetek i pajaców. Na wskroś samotni, wokół nas coraz ciszej i ciszej. Ci, którzy znali i rozumeli nasz wymierający świat też powoli umierają i odchodząc opuszczają nas dojmująco. Tom **Tomasza Jastruna**

zatytułowany

jest tak właśnie – to „Epoka wymierania”. Czyż nie w takiej epoce przyszło nam żyć? Rzecz jasna nie w sensie dosłownym. Przecież jest jak najbardziej *cool* (...)

Tom Tomasz Jastruna nie jest *cool*, jest niemal doskonały, oryginalnie wyrzeźbiony do lektury, w najprostszym, a zarazem najbardziej wyrafinowany poetycznie sposób, bez zbędnego nadęcia, patosu i drgawek plemiennych opowiada nam o nas samych i naszym gasnącym świecie. Jak w otwierającym tom wierszu „Pająk”:

*Szedłem beztrząsco spać  
Gdy na prześcieradle  
Zobaczyłem pająka olbrzyma  
Stał nieruchomo  
Na swoich cienkich i długich nogach  
Patrzyliśmy na siebie w milczeniu  
Nie wierząc własnym oczom  
Dwie niepojęte istoty  
Na trzeciej planecie od słońca  
Samotne i nagie  
W swoim istnieniu*

Tom Tomasz Jastruna na przekór współcześnie nagradzanej poezji bełkotu jest tomem czytelnym, tak samo czytelnym jak czytelnymi były refleksje: Szymborskiej, Miłosza, Herberta czy Różewicza, tak samo czytelnym jak czytelnymi są tomy wielu pomijanych wszędzie współczesnych polskich poetów, ale rzecz jasna wybija się na tym tle swoją unikalnością i jakby idealnością przekazu. Metafory trafiają w punkt. Inspirując do myślenia. Więcej od poezji nie wymagam. Ma być moja, intymna, mądra, ba, po prostu zamyślająca – pięknie zamyślająca...

Przeczytajmy dwa wiersze zamykające tom. Dwa piękne wiersze. Jakże znakomite, olśniewające, no i finalnie kojące nasze zmysły i postrzeganie tego świata:

## Pocałunki

*Nasze usta  
Rozcięte na pół*

*Jak owoce*

*Zjadamy słodki miąższ  
Pocałunków*

*Za oknem czarny kot  
Ciągnie za sobą drogę  
I świeci latarniami oczu*

## Pies

*Na starych filmach  
Wszyscy bardzo się śpieszą  
Jakby zapomnieli  
Że od dawna są martwi*

*Tylko jakiś pies  
Zabłąkany w oku kamery  
Merda ogonem  
Jakby był wieczny*

Niestety odnoszę wrażenie, że i my już jesteśmy jakby martwi. Jeszcze machamy ogonami, śpieszymy się, wydaje nam się, że jesteśmy wieczni, dopóki nas nic nie boli...

Nasze koty ciągną za sobą drogę, świecą latarniami oczu, a my komplikujemy ten świat w konkurencji jeszcze nieznannej, nowatorskiej, cyfrowej i informacyjnej szumem zabijając sens.

Tom Tomasz Jastruna ma nas ukoić, uspokoić, zamyślić i pulsować w naszych zmęczonych myślach, abyśmy wiedzieli co ważne, co istotne, za co warto... poświęcić wszystko.

Czuję się coraz straszny. Wiem, że to dziwne brzmi u pięćdziesięciolatka z kawałkiem, w dobie medycyny mumifikującej ludzi na żywca ponad kres życia... czuję się staro, żyję w starym świecie, staram się to wszystko ogarnąć, ale organy wysiadają, psują się, coraz więcej zniechęcenia coraz ciszej, coraz puściej. Może dlatego wstrząsnął mną wiersz „Stare małżeństwo”, ale tak się dziś mniej więcej z Żoną czujemy:

*Spotkały się dwie dłonie  
Spotkały się cztery nogi  
Los związał im ręce  
Los związał im stopy*

*Wodzeni byli na pokuszenie  
Przenosili góry i rzeki*

*A teraz do jednej małej walizki  
Pakują swoje podwójne życie  
I szykują się na nieistnienie*

Taaak. Taki zapewne tytuł powinien nosić ten felieton. **Szykując się do nieistnienia.** Tak się dziś czuję. I rozumiem, że tak się czują i inni moi przyjaciele, starsi ode mnie i zaniejsi, lepsi poetycko i myślowo, z dorob-

kiem, wierszami ważnymi i doniosłymi, jedni jeszcze istnieją, inni już nie, ale tak naprawdę wszyscy razem... szykujemy się na nieistnienie.

Do tego nieistnienia szykują się kościoły i cmentarze, cnoty i wartości, a nawet dobro i zło. Szatan już od dawna nie istnieje. Nieprawdaż?

Mnie jednak ta poezja koi. Uspokaja, że mogę jeszcze ją gdzieś kupić, przeczytać, przeżyć... że mogę ją ze sobą zabrać do poduszki, do podróży, do nieba, że mogę się nią okryć jak warstwą ochronną, że jeszcze jestem normalny i nadal żyję szykując się na to... nieistnienie.

Dziękuję Panu, Panie Jastrun

## Na moich półkach

*Sędziwe tomiki wierszy  
Dawno zmarłych poetów  
Ich pochylone grzbiety  
I poźółkłe dłonie  
Dedykacje  
To napisy nagrobne  
Pod krzyżami tytułów  
I szept wierszy  
Jak szmer modlitwy*

## Za szybą

*Bliscy znajomi  
I nieznamomi  
Mrą jak muchy  
Na szybie*

*A za szybą  
Jesień się mieni  
Przeleci ptak  
Powie coś ktoś*

*Bąk w grubym futrze  
Zapyla kwiaty  
Chłopak się kocha  
Z wiotką dziewczyną*

*Życie się toczy  
Na swoich kołach  
Nie wiadomo  
Po co i gdzie*

Chciałoby się czytać i czytać. Wszystko jest tu jasne i jak nigdy smakuje poezją. Nie wiadomo po co i gdzie (...). Ot taka tam epoka wymierania w gotowości na nieistnienie, które już się wydarza (dla artystów i poetów).

Tomasz Jastrun, „Epoka wymierania”. Wydawnictwo Austeria, Kraków, Budapeszt, Syrakuzy 2024, s. 146.

Juliusz Wątroba

# „Literaci”

Te trzy historyjki łączy wspólny mianownik (a nawet licznik!). Nie wiem, od której zacząć, bo wszystkie równoprawne i równie tragicomiczne. Więc tak na chybił trafił – choćby kulą w płot.

Pan Zenek ma 60 lat. Inteligentny, błyskotliwy, wszędzie go pełno. Robi szum koło siebie i lubi być w centrum uwagi, a w swoim środowisku, w niewielkiej miejscinie, jest wszystkim znanym „działaczem kulturalnym”, jak się w czasach słusznie minionych mówiło o szalonych ludziach pełnych pasji. Przebojowym, w miarę bezczelnym, z tupetem, załatwiający gdzie się tylko da i co się da – od dyrektora po burmistrza, od wsparcia duchowego po żywą gotówkę. Taki, co to jak wyrzuca go drzwiami, to wchodzi oknem. Organizuje wystawy malarstwa, zajęcia dla dzieci, a ostatnio nawet konkurs poezji! No właśnie, nie powiedziałem najważniejszego: pan Zenek od sześciu lat pisze wiersze! Zdobył nawet kilka wyróżnień w konkursach, co jest powodem dumy, z którą zresztą obnosi się jak paw ze swoją lirą albo indor z czerwonymi koralami. Jego megalomania rozwija się jak rozmarny w rzewnej piosence sprzed lat. I byłoby wszystko w porządku, gdyby nasz poeta nie zapragnął nagle zostać... prozaikiem. Napisał stustronicowy tekst prozą, wydał ładnie, z kolorowymi fotkami i na kredowym papierze w prywatnym mini wydawnictwku, i – na moje nieszczęście – uszczęśliwił mnie przesyłką poleconą, zawierającą pachnącą nowością książkę z kategorycznym żądaniem, bym napisał mu szczerze, co sądzę o jego dziele, najlepiej żeby była to pozytywna recenzja.

Gdy zacząłem czytać owe „dzieło”, resztki włosów stanęły mi dęba, a szczęka, ręce i inne członki opadły, bo rzeczywiście najprawdziej zdębiałem! Takiego nagromadzenia błędów wszelakich jeszcze w życiu nie spotkałem! Nie spotkałem też nigdy takich „metafor” (żeby dodatkowo podnieść literackość, Pan Zenek „dzieło” okraszał „prozą poetycką!”); wzbudzących to politowanie, to zażenowanie, to pusty śmiech wreszcie. Ze względu na chrześcijańskie miłosierdzie, nie będę cytował próbek tej radosnej, a żalostnej „twórczości”, choć diabeł mnie kusi, by i państwu sprawić wątpliwą „radość”. Już nawet myślałem, że coś jest ze mną nie w porządku, że to niemożliwe, więc poprosiłem córę (obciążoną genetycznie humanistkę po dwóch fakultetach), by rzuciła okiem na ową „pisaną sercem prozę” – jak podkreślił autor – i ołówkiem zaznaczyła błędy, jeśli takie zauważy. Po dwudziestu minutach moja pierwotna zwróciła książkę, mówiąc, że „takich bzdur nie będzie czytać”, a kilkanaście stron przez które przebrnęła zostało upstrzone dzięśiątkami, czy setkami podkreśleń całego wachlarza błędów. Odetchnąłem z ulgą, bo świadczyło to o tym, że ze mną wszystko w porządku, i ze zgrozą równocześnie, że to jednak prawda!

Zgodnie z żądaniem autora, po głębokim namyśle, napisałem szczerze, że proza jest beznadziejna, z kardynalnymi błędami, których nie spotkałem nawet, oceniając prace dzieci z podstawówki oraz że nie wystarczy wrażliwość i wyobraźnia, by pisać. Potrzebna jest też choć elementarna wiedza o zasadach pisowni, bo proza to nie wierszyki, składające się z kilku słów, ale dziedzina, wymagająca znajomości warsztatu, czyli poprawnego posługiwania się polszczyzną! Dodałem też, że lepiej by było, gdyby tej książki nie pokazywał krytykom, bo jeśli którejś raczy ją przeczytać, może go skompromitować oraz ośmieszyć wydawcę, a tego przecież nikomu nie życzę! Odpisał, że nie takiej odpowiedzi się spodziewał i koniecznie musimy się spotkać.

Spotkaliśmy się w pubie. Rozmowa zaczęła się kleić, gdy wypiliśmy po kilka piw. Dopiero wtedy wyszło szydło z worka (proszę nie mieć złych skojarzeń z rzeczownikiem „Szydło!”). Zenek – przesłaliśmy na „ty” – przyznał się, że przed 42 lata ukończył tylko... zasadniczą szkołę budowlaną oraz że pracuje nad swoim rozwojem. Powiedziałem szczerze, że czytelnika nie obchodzi, co skończył, a czego nie skończył, tylko to, co zaproponował i ogłosił drukiem! Zadałem mu też najprostsze pytanie:

– Czemuś tego, na Boga, nie dał do korekty? Najwykleszej polonistce?

– Przecież dałem! – powiedział oburzony.

– Komu??? – byłem bezgranicznie zdumiony.

– Mojej znajomej poetce. Z Warszawy! Córce wybitnych aktorów, która się we mnie podkochuje – odpowiedział dumnie i z godnością osobistą nieszczęsny domorosły „literat”, jakby miejsce zamieszkania „recenzentki”, pochodzenie społeczne, tudzież stany emocjonalno-otumaniające miały świadczyć o jej profesjonalizmie.

Na odchodne Zenek pochwalił się, że kończy drugą powieść – erotyczną! O mało nie spadłem z krzesła. A że nie miało mi już co opaść (szczęka i członki!), ani stanąć dęba (resztki włosów), to tylko dusza załkała bezgłośnie i serce zatrzępotało ze zgrozy... Pożegnałem się spieszenie, zostawiając Zenka z kolejnym piwem i „snami o potędze” w błogim przeświadczeniu o niezwykłości własnego „talentu”.

Historyjka druga. Koło seniorów w wielkim mieście działało znakomicie: zajęcia, spotkania, kółka wszelakie (od tańca do różańca), wyjazdy na wycieczki... Jednak w pewnej chwili energiczna i operatywna pani prezes wymyśliła, że byłoby pięknie, gdyby ukazał się... tom poezji aktywnych, acz wcześniej urodzonych. Zwróciła się tedy na piśmie do szefa miejskiej kultury z kategorycznym żądaniem przyznania sporych pieniędzy na wydanie „znakomitej poezji”, jak zaznaczyła, dołączając do podania już przygotowaną książkę. Publikację z kolorowymi fotkami i obszernymi notkami, z których

wynikało, że panie są bardzo aktywne: dziergają, haftują haftem krzyżykowym, malują, rzeźbią, tańczą, śpiewają, są aktorkami..., no i oczywiście piszą! Skąd o tym wiem? Poproszono mnie, żebym napisał recenzję wydawniczą. Napisałem. W skrócie: to beznadziejna i totalna grafomania. Zaapelowałem również gorąco, by pod żadnym pozorem tego nie drukować, bo ci, którzy podjęliby taką decyzję, mogliby zostać pociągnięci do odpowiedzialności karnej za wyrzucanie w błoto publicznych pieniędzy. Wśród bezmiaru koszmara radosnego pismaczenia znalazły się jedne wiersze znakomite! Zasugerowałem więc, by wydać indywidualny tomik pani, która naprawdę na to zasługiwała.

Zapomniałem o tym nieistotnym zdarzeniu, gdy po jakimś czasie zostałem zaproszony na spotkanie autorskie w wielkim mieście, w renesansowym pałacu, gdzie przyglądali mi się nie tylko słuchacze, ale i panie z portretów. Po prezentacji stała się rzecz niespotykana – otoczyło mnie kilkadziesiąt wrogo i agresywnie nastawionych leciwych niewiast, a ich przywódczyni z gromami w oczach (i zapewne bronią białą schowaną w staniku) wykrzyczała tylko jedno pytanie, wsparte dramatyczną choreografią: – Dlaczego????!!!

Okazało się, że kierownik wydziału powiedział natrętnie pani prezes, nachodzącej go i żądającej pieniędzy na „poezje”, że nic nie otrzyma, bo recenzja negatywna i koniec kropka. Dla świętego spokoju albo i ze strachu, dał jej też do przeczytania moją opinię.

– Byłam 40 lat polonistką i wiem jak się pisze! – wrzasnęła mi nad uchem jedna.

– A ja piszę lepiej niż Szymborska, bo ona pisała tylko 16 wierszy w ciągu roku, a ja tworzę nawet 20 w ciągu jednego dnia!...

Lawina złorzeczeń, pretensji i gróźb karalnych posypała się na moją siwą głowę z „siłą wodospadu”. Myślałem, że mnie te nawiedzone i rozwydrzone babsztyłe zlinczują! A choć w młodości trenowałem boks (w wadze papierowej niestety), nie miałbym najmniejszych szans.

Człowieka jednak w ekstremalnych warunkach, zagrażających najdosłowniej życiu, stać na wiele. Doznałem olśnienia (może za sprawą samego Ducha Świętego?) i palnąłem płomienną gadkę, uzasadniającą druzgoczącą, krytyczną recenzję, dzięki której złość i nienawiść nieszczęsnych poetess stopniała śniegiem wrzuconym w ognisko. Rozszalałe lwice przemieniły się z wolna w potulne owieczki, wycofujące się chyłkiem z zamkowej komnaty.

Trzecia powiastka też wprost z życia wzięta. Jeśli bym nie znał tej wyjątkowej i wybitnej osobowości, a oceniał jedynie jej późniony debiut, powiedziałbym krótko i bez najmniejszych wątpliwości, iż to czystej wody, rasowa grafomania monstrialnego beztalentia!

(Dokończenie na stronie 11)

Eugeniusz Kurzawa

## Spis treści (23)

(fragmenty)



Fot. Kazimierz Sobacki

Odkryto go jako niepełnoletniego młodzieńca w sosnowieckim mateczniku, rozwijał się w Katowicach i łapał literacki tlen podczas słynnych ogólnopolskich spotkań młodych w Nieborowie (1951) i Oborach (1954). Był tam obecny obok innych młodych i zdolnych: Tadeusza Borowskiego, Ernesta Brylla, Jerzego Harasymowicza, Marka Hłaski, pod skrzydłami takich osobowości polskiej literatury, jak Nałkowska, Kruczkowski, Jastrun. Gdy w 1954 roku przyjechał do Zielonej Góry – mając dopiero 20 lat i niemal 15 wierszy wydrukowanych w prasie krajowej – stał się z miejsca najważniejszym literatem Winnego Grodu.

Cóż zatem się stało, że ta początkowa werva literacka z upływem lat opadła, choć przecież wiersze, opowiadania regularnie drukował do samej śmierci i zawsze pozostawał poetą? Czy prowincjonalna Zielona Góra naciskała przez całe jego dorosłe życie na hamulec rozwoju twórczości? Dlaczego zatem stąd nie wyjechał? A może poezję tłumiała nadmierna aktywność społeczna? Lub coś nie tak bardzo zewnętrznego, niekoniecznie zauważalnego, za to zapisanego w psychice? Próbuję się mierzyć z tymi pytaniami i odpowiedzieć na nie. Nieuchronnie jednak rodzi się dość bolesna konstatacja, że – być może – straciliśmy wybitnego poetę, klasyka literatury polskiej.

W 2014 roku oddział ZLP zorganizował Januszowi Koniuszowi 80-lecie urodzin (notabene z humorem podkreślał później, gdy gościła u nas Joanna Rawik, że jest dzień młodszyci od artystki). Spotkaliśmy się w sali zegarowej Muzeum Ziemi Lubuskiej. I było widać wówczas, że pisarz jest nieswój. Po prostu nie pasowała mu ta osiemdziesiątka, przysłała za szybko i jawiła się dość pesymistycznie. Czesław Sobkowiak próbował wtedy, w luźnej pogawędce przy zastawionym stole, postawić jubilatowi pytania, które i mnie męczą – artykułowane wyżej. Odpowiedzi, być może,

powiedziałyby nam więcej o pisarzu, niż wiemy dotąd. Ale oczekiwanej reakcji Czesław się nie doczekał. Natomiast mnie się zdarzyło – dużo wcześniej, w rozmowie w cztery oczy – usłyszeć dowcipną wypowiedź autora „Próby samoobrony” (znamienny tytuł!) na podobnie przedstawione problemy dotyczące jego utknięcia na prowincji i życiowego wyhamowania. Otóż na moje prowokacje Koniusz odrzekł, że on nie należy do buntowników, prowadzi ułożone życie, nie ma w sobie krztyny z Wojaczka, Bursy lub innych „wyklętych”. Żeby to potwierdzić konkretem, rzekł: – Panie Eugeniuszu, ja mam wciąż tę samą żonę... Co zresztą potem zapisał w wierszu „Puenta”.

Ostatnie publiczne wystąpienie pana Janusza jako honorowego prezesa oddziału zdarzyło się 25 listopada 2016 roku też w muzeum. Wystąpił w roli przewodniczącego kapituły Nagrody im. Andrzeja K. Waśkiewicza przyznawanej corocznie przez oddział ZLP; odczytał i uzasadnił werdykt. I szybko poszedł do domu, bo jak powiedział, o 20.00 musiał wziąć leki. Spotkaliśmy się jeszcze w gronie zarządu oddziału ZLP u mnie, w domku ogrodnika, na opłatkowym spotkaniu przedświątecznym 17 grudnia 2016 roku Koniusz oczywiście rzucił jakiś pomysł czy dwa. A potem – to już watek bardzo osobisty – napisał w piśmie „Pro Libris” recenzję pierwszego zbioru wierszy mojej córki. Poniekąd namaszczając ją na poetkę.

Zadzwoiłem do pisarza – jak się okazało – tydzień przed śmiercią. Rozmawialiśmy dość długo, oczywiście o poezji, o kolejnych sprawach do zrealizowania. Zapytałem o jego wiersze. – Szykuję swój ostatni zbiorek – powiedział. – Trochę starych wierszy, jak też nowe. Chciałbym, żeby się ukazały. Obiecałem mu, że zbiór wyjdzie. Ukazał się pod tytułem „Wiersze ostatnie”...

Dużo wcześniej, na któryś jubileusz, robiłem z panem Januszem wywiad do „Gazety Lubuskiej”. Siedzieliśmy na stryszku przy Niepodległości 35. – Wie pan, moim marzeniem byłoby, żeby choć dwa moje wiersze zostały w literaturze polskiej, no, choćby jeden – stwierdził. Wtedy wydał mi się minimalistą. Jakże to!? – oburzyłem się niemal. – Choćby jeden – powtórzył Koniusz.

Mam świadomość, że mieszkał wśród nas ważny i obiecujący twórca. Przez całe życie – człowiek słowa. Miał ogromne możliwości, z których chyba z rozmysłem nie skorzystał. Może je wręcz tonował. Szkoda, bo wydaje się, iż coś ważnego uciekło nie tylko jemu, ale i polskiej poezji. Szanse, marzenia, c o ś, czego nie udało się w pełni zrealizować. Widać jednak tak być musiało...

Janusz Koniusz, ur. 1 lutego 1934 w Sosnowcu-Niwce – zm. 29 marca 2017 w Zielonej Górze. Poeta, prozaik, dramaturg, publicysta, działacz społeczny. Filologię polską zaczął studiować na WSP w Katowicach, ukończył na UAM w Poznaniu. Był sekretarzem LTK i redaktorem naczelnym „Nadodrza”. W 1961 został członkiem ZLP, w tym samym roku współuczestniczył w powołaniu oddziału ZLP w Zielonej Górze.

Czesław Sobkowiak

Mgliście jawią mi się początki znajomości z Czesławem. Być może mineliśmy się kiedyś w redakcji „Nadodrza”, odwiedzając Andrzeja K. Waśkiewicza? To jest prawdopodobne, bo właśnie w „Nadodrzu”, w pokoju redakcyjnym Andrzeja, spotkałem pierwszy raz Mięczysława J. Warszawskiego, najlepszego przyjaciela Czesia i poetę-rówieśnika. Choć nie jestem stuprocentowo pewny. Natomiast wyraźniej już zapamiętałem Czesława ze spotkania młodych literatów – poza Zieloną Górą – organizowanego przez Jurka Leszina. Zapewne odbywało się w ośrodku wypoczynkowym pod Warszawą, może nad Zalemem Zegrzyńskim...? Był tam Sobkowiak, znany mi już z widzenia, gdyż wiedziałem, kto zacz, ale na tym kończy się (w mojej głowie) cały ten epizod. Zamieniliśmy parę słów przed wyjazdem z Warszawy do owego ośrodka. Mogłem przypuszczać, że uznaje się – skoro jest obecny – za jednego z uczestników pokolenia Nowej Prywatności, do którego i mnie zaliczano, a tej formacji literackiej poświęcony był ów miting młodych twórców. Na potwierdzenie powyższych przypuszczeń znalazłem w swoim albumie zdjęcie z podpisem mówiącym, iż spotkanie odbyło się Biało-brzegach w dniach 6-8 grudnia 1985 r. i toczyło się pod hasłem „O sztukę czasu, w którym żyjemy”. Na zbiorowej fotografii, w tłumie poetów, na pierwszym planie przykucają Czesław Sobkowiak. Widzę też Leszina, Waśkiewicza, jest obecny Zbigniew Jerzyna i Zbigniew Joachimiak, i wielu innych.

W czasach studenckich, zwykle po otrzymaniu stypendium akademickiego, niekiedy po wypłacie skromnej wierszówki zarobionej publikacją w „Nadodrzu” lub „Gazecie Lubuskiej”, wędrowałem do jedynej antykwariatu w Zielonej Górze, na rogu ulic Świerczewskiego i Wojska Polskiego. Często też przechodziłem do księgarni przy ul. Żeromskiego. Szukałem tomików poezji, nowych, ale też uznanych autorów, a niełatwo było je upolować. Szczególnie wypatrywałem zbiorów Rafała Wojaczka, niedawno zmarłej legendy ówczesnych lat. W gronie kilku osób z uczelni założyliśmy Studencki Klub Poetycki 54 i chcieliśmy być z poezją na bieżąco. Jeden z kolegów podpowiadał np. lekturę krakowskich poetów Kornhausera i Zagajewskiego z grupy „Teraz”. W modzie też byli (zresztą zawsze) tzw. poeci przekłęci, zatem Bursa czy Wojaczek byli dobrze przez nas notowani. Poszukiwałem zatem uparcie Wojaczka i po jakimś czasie byłem już znany, szczególnie w antykwariacie, z namolnych pytań o jego książki. Czas płynął. Aż tu pewnego dnia sympatyczna pani za ladą mówi: – Coś dla pana mam. I wyciąga „Nie skończoną krucjatę”. Zatkąło mnie. Zakupu dokonałem 17 września 1977 r. (wiem, bo miałem zwyczaj wpisywać na stronie tytułowej datę nabycia dzieła). Książka wciąż stoi w mojej bibliotece. Pani nie chciała początkowo powiedzieć, kto się pozbył wrocławskiego poety, zresztą zbytnio się nie dopytywałem.

cdn.

# Leszek Gordziej

## Recepta

Stan umysłu  
kupiony  
na pchlim targu  
w cenie tombakowego pierścionka  
pośniedział  
Senne widziadła  
z nocnych koszmarów  
zameldowały się na pobyt stały  
twarze niechciane  
zalegają  
na wysypisku wspomnień  
Doktor od nerwów  
zapisał  
kolorowe tabletki na rozum  
Wybrałeś  
bezkres stepu  
i zielonych znachorów

## Oszukany

Umysł zdradzony przez ciało  
nie znajduje wsparcia  
atoniczne mięśnie buntem  
reagują  
na skórze cyrograf – kalendarium  
pokrętnych dróg  
oczy nie zwilżane pocałunkami zapomniane  
płowieją  
w pojesiennym ogrodzie

## Święci

bez ich zezwolenia  
z gwoździ zakładamy kajdany  
na dwunastu apostołów  
wiszących w ramie nad posłaniem

z niewoli świętych  
łatwo uczynić alibi dla demona  
przybranego w ciemniową koronę

zawstydzeni  
przed konfesjonalem spowiedzin  
perfumujemy zapach grzechu pierworodnego

prawdą o nas jest chwiejność chwili  
nią  
jak kosą o dwóch ostrzach  
pozbawiamy włosy życia  
które w pokłonie  
bez buntu  
przemieniają się w chleb

zamknij drzwi na zasuwę  
niech ziaren nie wywieją za progi

bez udziału kapłanów  
wpleciemy różaniec

uwolnimy świętych

\* \* \*

Z domu na leśnym uroczysku  
zamieć wygoniła ciepło  
ściany wyziębłe  
ogrzewają  
słowa dawno zapomniane  
rozłupany pień w palenisku  
– mądrość o współistnieniu  
ostatnia ze szczap dogasa  
nie zapomnijmy powiedzieć  
Dobranoc...  
bliskość ciąż  
i kromka suchego chleba  
nad ranem  
smakuje inaczej

## Życie to teatr

Myśl karmiona nadzieją  
nie przemieni chleba w wino  
nocy w dzień  
Tajemnicę bólu chytry  
furman z objazdowego teatrzyku  
wozi pokrętnymi drogami  
Za jałmużną cenę biletu  
tęskny sukcesu aktor  
scenę śmierci gra bez udawania  
Publika z żądzami Nerona  
oblizuje palce prosząc  
o bis  
Ciało komedianta chroni kurtyna  
widzów – wenecka maska Charona  
W miasteczku znowu nuda  
Na afiszu ogłoszenie:  
aktor potrzebnym od zaraz

# Janusz Orlikowski

## Dziś

to ten ptak za oknem który śpi  
ale czujny zawsze godny by frunąć  
gdy oddech wiatru

bo niczego mu nie potrzeba  
a odczuć to może człowiek  
gdy uśmiecha się teraz

do ciszy tego co jest  
i nawet gdy pojawiają się gromy  
znaczą dziś tylko tyle:

odpowiedź na ten oddech wiatru  
czy może być nawet huragan  
które nie mogą mieszać się z czasem

bo to on tragedię rodzi  
więc frunąć gdzie przeszłość  
i przyszłość nie znaczą drogi

tylko teraz które niczym mantra  
uspakaja niczego nie było  
nie będzie jest

ten ptak za oknem który śpi

i człowiek który wie co teraz  
gdy oddech wiatru

do ciszy się uśmiecha  
w tej i każdej możliwej  
chwili

## Gdy tylko

*na kanwie wiersza  
„Ponad chmurami”*

gdy tylko patrzę na te drzewa  
na ich wewnętrzny spokój pomimo  
wszelkiej pogody jestem bliżej

oddech codzienności niczym  
ponad chmurami słońce i cisza  
piętrzące się poniżej góry chmur

jakbym z okna samolotu patrzył  
i tam było moje miejsce  
świat dobra piękna i prawdy

zamiast czasu spadających dusz  
wśród których i moja pewnie się kołacze  
gdy tylko patrzę jestem bliżej

i ona nieopodal mnie  
gdy tylko patrzę na te drzewa  
jestem

## Jutro

ten nie dzisiejszy dzień a jutro  
gdy zaprzęta głowę to pustka  
która wtedy się rodzi

rozchyła swoje podwoje  
żyzną glebą myśli  
która wtedy plonuje...

a owocu nie ma  
i tak dzień za dniem  
gdy myślimy jutro

jakbyśmy tego nie wiedzieli  
zdziwieni klepiemy w pustkę  
myśląc że następnego dnia...

ważniejsze jest nasze ego  
które mówi co jak ma być  
niż co dzieje się dziś

i choć groteskowo to brzmi  
śpieszymy z tą narracją  
gdy rozum śpi

## Poza czasem

poza czasem wszelkiego przypadku  
codziennosc otacza mnie powietrze  
i widzę tak jak drzewa czy słońce

nawet na wszelki wypadek  
wypada tu blade pewnie  
chyba śpi

codziennosc to prawdziwe swiето  
poza czasem zło nie może się przebić  
choć kołaczec lecz nie słyszę głosu

radość – tak naprawdę nigdy jej za wiele  
gdy przydarza nam się przydrożna pamięć  
wystarcza jeśli wieczne teraz

to raj jest tu tak bliski  
że na wyciągnięcie dłoni gdyby  
nie skradziony Bogu czas

### Tylko milcząc

tylko milcząc można w pełni nazwać zło  
bez uszczerbku dla swych dalszych poczynañ  
odebrać mu relację której się spodziewa  
i bez której nic nie znaczy

będzie jak kundel który szarpie nogawkę  
bo nic więcej wtedy nie może  
brak ogniwa z dobrem – ośmieszca  
go w jego oczach

i jest jak ptak bez gniazda  
frucha skazany na wieczne frufanie  
a gdy wciąż się pojawia milczenie  
odstrasza go jak ręka owada

tylko milcząc można w pełni nazwać zło  
to jedyna możliwość jego personifikacji  
jedno słowo wystarczy aby wkraść się  
Ewy z węzłem dialog

tylko milcząc można w pełni nazwać zło  
zupełnie go nie nazywając  
Bóg dawno poczynił to za nas  
abyś ty nie musiał

## Agnieszka Tomczyszyn- Harasymowicz

### Ważyliśmy wszystko

przewagę miały rzeczy duże i ciężkie  
szukaliśmy Sztuki w muzeach, czytaliśmy  
etykiety, nie przeczuwaliśmy, że nadmiary  
zamkną nas w materii.

W połowie Czasu zdaliśmy sobie sprawę,  
że wszelkie miary są bezmiarem.

### Cisza – ta starzejąca się kobieta

martwiejąca i ogłuchła – od miesiąca siedzi  
na progu –  
przygląda się wzburzonym falom, jęzory  
smagają

jej twarz – przyplwy i odpływy, zablźnione  
bruzdy.

Będziemy za nią oddychać, jeść i spać,  
będziemy starannie rozcierać jej zimne  
dłonie.

Cisza – ta wychudzona stara kobieta  
o mglistym spojrzeniu  
łapczywie zjada naszą ostatnią wieszczkę.

### Sztwność alfabetu uniemożliwia czytanie

Od pewnego czasu trudno dostrzec znaki  
diakrytyczne  
wyrazy potrzebują protezowania, a głoski  
nagłośnienia.

Próbuję rozpoznać zwyrodnione litery, ale  
suchość pisma  
przykłada się na suchość w gardle.

### Nasze zawieszenie broni jest pożegnaniem

Odchodzisz, zabierasz kosmyk włosów,  
żarliwość słów  
i powietrze. Jak długo można żyć bez  
oddychania?

Nigdy nie traktowałaś mnie jak wojownika,  
nie wpinałaś szarfy w szyszak, nie życzyłaś  
powodzenia.  
A jednak byłaś słońcem i deszczem, ulgą  
i ciężarem.

Wybacz. Zostawiam ci odcisk dłoni na  
pelerynie,  
zaborczość przyjaciół i ostatnie  
niedosłyszania.

Teraz odejdz. Znikanie to prawdziwa sztuka,  
a ty znasz ją najlepiej. Jesteś jak naiwna  
dziewczyzna,  
która podciąga rajstopy aż do gardła,  
wyśpiewuje  
coraz dźwięczniejsze pieśni i przepada.

### Kiedy już się zdarzy jednokrotne doświadczenie

zawiśnie nad nami nieuchronność.  
Przesuwanie granicy  
zwabi rekiny - podpłyną do krwi.

Przychodzę, żeby dostać jakąś odpowiedź.  
Mówisz,  
że pytań jest za dużo i nie starcza czasu na  
tłumaczenia.

Moja krew nie krzyżuje się z twoją. Gdy  
skaleczysz się mną,  
granica przestanie być granicą, a niebo  
przecieknie przez horyzont.

### Matka wychodzi, wyrzuca zaległości

nie ścieli łóżka, położy tu wezwania do życia,

przeciera szyby i okulary, pakuje wypisy,  
telefon i naładowane chmury,

maluje paznokcie na niebiesko, włosy na  
rudo,

nie może uspokoić tkliwego brzucha,

zabiera drobne na ostatnie wydatki, nie chce  
niczego

powiedzieć na wyrost,

wychodzi z zieloną walizką jakby  
wyjeżdżała

na wczasy.

29.08.2020 r.

### W momencie przecięcia

nie brakuje mi odwagi –  
mogłabym odwiedzić grób matki,  
przeczytać listy od niej  
i posmakować kwaszonej kapusty,  
którą robisz lepiej niż ona.

W momencie przecięcia  
wycinam pod stołem czerwone maki,  
łaka się wyludnia, pachnie śladami ojca –  
jemu bym uwierzyła, że można zamieszkać  
w papierowych wierszach.

### Wiatr rozprawiał się ze spódnicami szytymi z koła (Chania)

W Chanii wzburzyło nas morze, było za  
głośno  
na wyznania. W porcie rozpoczął się  
przyplwy,  
bałwany zza barierok pożerały lądowy  
plankton.

Wiatr rozprawiał się ze spódnicami szytymi  
z koła.  
Było za upalnie na żarliwą namiętność, ale  
miałam  
wrażenie, że unoszę się niczym kobieta  
z Klimta.

Posmak soli i zapach ryb rozdrobniły się  
w kamienistą  
plażę. I szliśmy wysokim murem między  
zatoką  
a tętnem miasta. Bałeś się, że spadnę,  
oderwana  
od ciebie pośpieszną falą.

W pomarańczowej ziemi goiła się czułość,  
a w wąskich uliczkach wybarwiała się  
grzeczność  
greckich sklepikarzy.

prof. Grzegorz Bazylak

# Potęga i strategia dezorientacji

## Roberto Bolaño (1953 – 2003)

**Roberto Bolaño**, chilijski pisarz, poeta i prozaik, urodził się 28 kwietnia 1953 roku w Santiago de Chile, stolicy Republiki Chile. Jako dziecko wraz z rodzicami i młodszą siostrą mieszkał w kilku różnych miastach tego kraju. Jako piętnastolatek osiadł w México City, stolicy Meksyku, gdzie zakończył szkolną edukację, pracował jako reporter i poświęcał czas lekturom, a w 1972 roku założył z miejscowymi poetami (Bruno Montané, Maria Santiago, Hector Apolinara) „Ruch Infrarealistyczny”, który był mieszaniną dadaizmu i surrealizmu, co przedstawił później na kartach swojej słynnej powieści „*Los detectives salvajes*” wydanej w 1998 roku.

Jesienią 1973 roku Roberto Bolaño wrócił do Chile tuż przed ludobójczym puczem gen. Augusto Pinocheta (1915-2006), tego oszałamiałego bibliofila, który zgromadził najcenniejszy księgozbiór w tym kraju (por. J.C. Peña w: *Dziobak literatury. Reportaże latynoamerykańskie*, Warszawa 2021, s. 100-116) i jest winien śmierci 5 tysięcy cywilów w ciągu tygodnia od 11 do 18 września 1973 roku oraz dalszych 50 tys. zabitych do 1990 roku, gdy wreszcie jego przestępczy i popierany przez USA krwawy reżim upadł. Kiedy Roberto Bolaño próbował w 1973 roku opuścić Chile, został zatrzymany na granicy państwa pod zarzutem terroryzmu i trafił na osiem dni do więzienia, skąd uciekł, dzięki pomocy przyjaciół z więziennej kławiatury. Następnie w 1974 roku przedostał się drogą lądową przez Peru i Kolumbię do Salwadoru, a przez Gwatemalę znów do Meksyku, a potem do Francji (1977) i Hiszpanii (1978), gdzie był m.in. kierowcą śmieciarki, nocnym stróżem, robotnikiem portowym i akwizytor, wypełniając swoim życiem *smutną i niezwykłą kondycję Latynosów zagubionych w Europie, zagubionych w świecie*, jak stwierdza jedna z postaci powieści *Los detectives salvajes* (1998) oraz detalicznie opisuje mocno autobiograficzny narrator mikropowieści *Amberes* (2002). Na początku lat 80. Roberto Bolaño zamieszkał w Geronie (Gironie w języku katalońskim), a następnie od 1986 roku, aż do śmierci w 2003 roku, w nadmorskim Blanes (60 km od Barcelony), gdzie otworzył sklep z pamiątkami i sprzedawał m. in. grafiki i ceramikę Jeana Miró (1893-1983).

Podobno w każdym Chilijczyku tkwi duża poety, być może dlatego od szóstego roku życia Roberto Bolaño ciągle pisał wiersze i poematy, które zostały po raz pierwszy wydane w 1976 roku w postaci debiutanciego dwudziestostronicowego tomiku pt. *Reinventar el amor y otros poemas* w México

City, w nakładzie 225 egzemplarzy, przez wydawnictwo uniwersytetu UNAM (Universidad Nacional Autónoma de México), gdzie także studiował na wydziale filozofii i literatury oraz obronił w 1976 roku dysertację doktorską krakowski poeta Jan Zych (1931-1995), późniejszy tłumacz na język hiszpański, wydawca i popularyzator poezji m.in. Czesława Miłosza (1911-2004), Wisławy Szymborskiej (1923-2012), Zbigniewa Herberta (1924-1998), Tadeusza Różewicza (1921-1914) i Grzegorza Białkowskiego (1932-1989) na terenie Meksyku i Ameryki Łacińskiej.

Kolejne zbiory wierszy, które Roberto Bolaño opublikował będąc już w Hiszpanii, to *Fragmentos de la Universidad Descondida* (1992), „*Los perros románticos*” (wyd. pierwsze 1993, wyd. rozszerzone 2000), *El último salvaje* (1995), „*Tres*” (2000) oraz posmiertnie tomy wierszy *La Universidad Descondida* (2007) oraz *Poesía Reunida* (2019, wiersze zebrane, 688 stron), *Leamos a Bolaño. Un regalo inédito* (2020, inedita poetyckie).

Profesor Nina Pluta w opublikowanej w 2010 roku obszernej monografii pt. *Historia literatur iberoamerykańskich* (Ossolineum, Wrocław 2010, s. 768), stwierdziła (cytuje): *Roberto Bolaño przez całe życie pisał poezję realistyczną, enigmatyczną, zanurzoną w miasto i jego przestrzenie, niezalecane w przewodnikach turystycznych* (s. 471), a następnie dodaje, że *wiersze Roberto Bolaño wtapiają prywatne doświadczenia w krajobraz współczesnego miasta. Mimo pozornej prostoty i nieformalnego tonu, przetwarzają miejską codzienność w misterium, którego rytuały i cel pozostają niewyjaśnione* (s. 515). Natomiast jeden z licznych grona początkujących latynoamerykańskich poetów opisywanych w wydanej w 2022 roku w Polsce powieści Alejandro Zambra *Chilijski poeta* (Wyd. Filtry, Warszawa, przekład z języka hiszpańskiego Carlos Marrodán Casas), sformułował niezwykle przewrotną opinię, pełną lekceważenia i kabotyńskiej drwiny, na temat poezji Roberto Bolaño, nieświadomie demaskując przy tym swój głęboki podziw i autentyczne uznanie dla tej kontrowersyjnej twórczości (cytuje): *Jego powieści nie czytałem, ale znam parę wierszy, nie są dobre. W poezji gra się o wszystko. Jeśli jesteś dobrym poetą, możesz pisać powieści, żeby zarobić parę groszy, bo pisanie powieści jest łatwiejsze, ale nie ma nic smutniejszego niż powieściopisarz piszący złe wiersze. Jestem pewien, że Roberto Bolaño miał tę świadomość, bo czytałem parę wywiadów z nim i nie da się zaprzeczyć, że facet nie był głupi* (op. cit., s. 78).

Tymczasem na początku lat 90. XX wieku, **Roberto Bolaño**, gdy się ożenił i urodził się jego syn Lautaro i córka Alexandra, postanawia zarabiać i żyć z pisania prozy. Pierwsza jego powieść *Lodowisko* (1993), a później esej z elementami fikcji *Literatura nazistowska w Ameryce* (1996) zostały opublikowane w słynnej barcelońskiej oficynie wydawniczej Seix Barra. Kolejną powieść *Gwiazda daleka* (1996) publikuje znany kataloński wydawca Jorge Herralde, który mówi o nim *on jest jak romantyczny pies, wściekły pies, zbity pies*. Talent narracyjny **Roberto Bolaño** znakomicie obrazuje opinia hiszpańskiego pisarza Enrique Vila-Mata (1948-), autora wydanych w Polsce nowatorskich powieści *Krótką historią literatury przenośnej* (2007) oraz *Dublineska* (2015), który stwierdził na łamach pisma „*Quimera*” w marcu 2004 roku, że *dla Roberto wszystko było literaturą, reszta mało go obchodziła, potrafił opowiedzieć podczas jednego wieczoru dwadzieścia trzy wersje tego samego dowcipu*.

Przełom w karierze literackiej Roberto Bolaño nastąpił po entuzjastycznym przyjęciu przez czytelników i recenzentów jego powieści *Dzicy detektywi* (1998), za którą autor został uhonorowany nagrodą Herralde Prize i stał się niemal z dnia na dzień tzw. pisarzem kultowym. Ta totalna powieść o poetach, poezji i podróżach po Meksyku, Francji, Hiszpanii, Izraelu zawiera, jak stwierdziła Nina Pluta, *istne perełki talentu fabulacyjnego autora oraz jest subiektywną, nonszalancką i gniewną odmianą neorealizmu* (op. cit., s. 471). W tym samym 1998 roku za zbiór opowiadań *Rozmowy telefoniczne* (1998) Roberto Bolaño uzyskuje prestiżową nagrodę dla pisarzy chilijskich Municipal Prize for Literature Santiago de Chile. Natomiast w 1999 roku za ten sam tom opowiadań otrzymał przydzielaną co pięć lat Premio Rómulo Gallegos, zwaną latynoamerykańskim Noblem. Jego powieść *Chilijski nokturn* (2000) została wpisana przez międzynarodowy panel recenzentów i krytyków z *The Los Angeles Times Book Review* na listę dziesięciu najważniejszych książek wydanych na świecie w 2003 roku (The Ten Best Books of 2003). *AMBERES* była pierwszą powieścią Roberto Bolaño, którą napisał w 1980 roku w Hiszpanii. Na jej publikację zdecydował się dopiero po upływie dwudziestu dwóch lat, w roku 2002, gdy zyskał już międzynarodowe uznanie i artystyczny prestiż, na kilka miesięcy przed swoim nagłym zgonem w lipcu 2003 roku. W tej skromnej mikropowieści autor nawiązuje do autentycznych wydarzeń ze



swojego życia, zagubionego chilijsko-meksykańskiego imigranta, który w latach 1976-1980 na terenie Francji, Belgii i Hiszpanii utknął w pułapce demokratycznego panoptikonu. Zawarta w 56 epizodach akcja powieści toczy się wokół dziwnego śledztwa i tajemniczej zbrodni, w topografii obskurnych hoteli i pustych kempingów, pośród jesiennej scenerii wybrzeża Costa Brava. Wypełniona jest nieszczęśliwymi dziewczynami, włóczęgami, poetami i policjantami, wskazując na bezustanną obecność analizowanej w dziełach Michela Foucault (1926-1984) „władzy rozproszonej”, która działa poprzez to, co potrafi ukrywać. Wątek sensacyjny przeplata się z przypadkowymi dźwiękami, rozmowami przechodniów, głosami z sennych koszmarów, wspomnieniami lektur, analizami fotografii i rozmyślaniami wszechwiedzącego narratora, którym jest sam autor. W tej z pozoru chaotycznej powieści parakryminalnej Roberto Bolaño zastosował, chociaż jeszcze w szcztkowej postaci i ograniczonym zakresie, wyrafinowane rozwiązania literackie, które poprzednio spotykane były w równie innowacyjnej kombinacji tylko w twórczości Jorge Luisa Borgesa (1899-1986), do których należą, jak zauważył prof. Arkadiusz Żychliński (cytuje): *ironiczne przerysowanie, intencja estetyczna, postulowany dokumentaryzm, maskująca demistyfikacja, intencja etyczna, dodając jeszcze do całości element metatekstualny*, Roberto Bolaño *robi to jednak w taki sposób, że zamiast z „dokumentalną fikcją” mamy do czynienia raczej z „fikcyjnym paradoksem”* (w: prof. Wojciech Charchalis, prof. Arkadiusz Żychliński (red.), „Czynnik Borgesa. Szkice krytyczne”, Wyd. Naukowe UAM, Poznań 2020, s. 266).

W takiej wielowątkowej, często zmagmatwanej, narracji, równocześnie absurdalnej, rozmytej, współbieżnej, urywanej i aluzyjnej, gdzie retrospekcja przenika się na każdym etapie z introspekcją, jakiegokolwiek powiązanie zjawisk, ich następstwo i natężenie, zostaje przedstawione w dowolnej kolejności, jako coś zaledwie prawdopodobnego, pozbawionego pewności, co stanie się wkrótce znakiem firmowym kolejnych powieści Roberto Bolaño wydawanych w latach 1993-2003. Pisanie, a właściwie czytanie-jako-pisanie, stało się dla niego sposobem na ukazanie płynności historii oraz pokonanie tyranii semiotycznej przemocy, bo wtedy, jako uwolniony od własnej tożsamości podmiot, mógł podjąć swobodną grę z zakorzenionym w tradycji językiem, który raczej konstruuje rzeczywistość niż ją rejestruje, odtwarza czy utrwała.

Zagadkowy tytuł powieści *AMBERES*, pomimo ściśle geograficznego i nieco ironicznego sensu tego słowa w języku hiszpańskim (miasto Antwerpia, stolica belgijskiej Flandrii, która za życia Paula Rubensa (1577-1640) była prowincją Królestwa Hiszpanii), może również z premedytacją nawiązywać do jego znaczenia w języku hindi, w którym słowo „amberes” oznacza „bursztyny”, czyli skamieniałą, wydobywaną z dna morza, żywicę roślinną, będącą cennym materiałem

jubilerskim. Bursztyn zwany jest złotem północy, dodaje ludziom siły, mądrości i pewności siebie.

Ale słowo „amberes” kojarzy się także ze słowem „ambra”, które oznacza wydzielinę z jelit kaszalota, jaka unosi się sporadycznie na powierzchni morza, nabierając jego rybiego zapachu i słonego smaku. Niektórzy mówią, że to wymiociny lub produkty defekacji, menstruacji albo polucji. Ambra oznacza zatem coś rzadkiego i cennego. W 2020 roku producenci perfum płacili 115 tys. złotych za jeden kilogram zbrylonej ambry. Ponadto, szumiące w tej powieści morze, wraz powtarzającymi się opisami przemocy, wielokrotnie staje się dla Roberto Bolaño martwym punktem, który wywołuje wstrzymanie narracji, jak w filmie „Szalony Piotruś” („Pierrot le fou”, 1965) Jean-Luc Goddarda (1931-2022).

Zatem „amberes” to dystopijna syngedocha otaczającego nas wybrakowanego globalnego świata, który tonie w apokaliptycznym morzu wszelkiego rodzaju wybrakowanych miejsc, kalekich istot i nietrwałych rzeczy, wśród odpadów, ścinków, śmieci, ściętków, fragmentów i odłamków, wciskanych miliardom ludzi na siłę, całodobowo i bez ograniczeń, gdzie tylko nieliczni wybrańcy, jak te „faktualistyczne świnię, mugwumpowie lub aligatory wśród puszek i butelek” z cenionej przez Roberto Bolaño powieści *Nagi lunch* (*Naked lunch*, 1959) Williama G. Burroughsa (1914-1997) oraz jej filmowej adaptacji z 1991 roku w reżyserii Davida Cronenberga (1943-), widzą na mulistym dnie błysk złota, labirynty literatury lub nieodślanialne specyficzne piękno, które pozostaje wierne sobie dopóki jest zasłonięte.

Wieloryb pojawia się także na kartach powieści *AMBERES*, co być może wskazuje na to, że Roberto Bolaño, jako biedny imigrant i bezdomny nomada, czuł się w latach 80. w Barcelonie, dokładnie tak samo, jak te zdezorientowane i zagubione wieloryby, które często pojawiają się w pobliżu brzegów Katalonii lub jak ten wyjątkowy wieloryb wyrzucony z morza na plażę 2 lipca 1577 roku w Antwerpii, w której Roberto Bolaño przebywał kiedyś przez kilka dni. Nota bene, posługujący się także językiem hindi wyznawcy dżinizmu (ang. *jainism*), przejęli po 2005 roku w Antwerpii od potomków Abrahama niemal w całości przemysł obróbki i centra handlu diamentami, z których to miasto słynęło przez kilkaset lat, a ponadto wybudowali w 2010 roku w tym mieście, w dzielnicy Wilrijk, jedyną w Europie świątynię dżinizmu – Jain Temple i Jain Cultural Centre Antwerp Vzw, którą skonstruowano w całości z oryginalnych elementów, kolumn, kopuł i posągów dostarczonych na plac budowy prosto ze świętego miasta Digambarów w stanie Karnataka w Indiach. Dziwnym trafem, pod koniec omawianej powieści Roberto Bolaño pojawiają się w niej Nagowie, hinduskie bóstwa węzowe, nieustannie krążące między niebem a ziemią, dawcy płodności, zdrowia, bogactw, szczęścia i strażnicy podziemnych skarbów.

Warto także odnotować, że prestiżowe MHKA Museum of Contemporary Art w Antwerpii przy ulicy Leuvenstraat 32 zorganizowało w okresie od 7 czerwca do 15 września 2019 roku ogromną wystawę malarstwa, asamblaży, fotografii, rzeźb oraz instalacji, które zostały zainspirowane treścią omawianej powieści *AMBERES*. Zaprezentowano prace 51 wybitnych artystów z całego świata, m. in. Marlene Dumas z RPA czy Nicolasa Uriburu z Argentyny, a powieść oferowano w przekładzie na język flamandzki (Lebowski Publishers, Antwerpen 2014). Krótką relację z tego wydarzenia można obejrzeć na stronach YouTube [https://www.youtube.com/watch?v=cO270bW1\\_Kw](https://www.youtube.com/watch?v=cO270bW1_Kw).

Po raz pierwszy powieść *AMBERES* została opublikowana w dniu 1 września 2002 roku w Barcelonie przez wydawnictwo Anagrama. W 2010 roku ukazało się tłumaczenie tej powieści na język angielski zatytułowane *Antwerp*, którego dla wydawnictwa New Directions Books, New York, USA dokonała Natasha Wimmer (1973-), absolwentka Harvard University (Cambridge, MA, USA), laureatka wielu amerykańskich nagród translatorskich, m.in. najbardziej prestiżowej PEN Translation Prize (2009). W tym samym tłumaczeniu omawiana powieść Roberto Bolaño, została wydana w 2011 roku w Wielkiej Brytanii przez oficynę Picador, która należy do wydawnictwa Pan Macmillan w Londynie. Dotychczas nie ukazało się wydanie w języku polskim, nie było także nigdy publikacji fragmentów powieści *AMBERES* w polskiej prasie literackiej.

Roberto Bolaño, znany z tego, że nigdy nie gryź się język, w swoich esejach i wypowiedziach krytycznych wyzywając się z sarkazmem na brukowej literaturze, buntując się przeciw masowej produkcji pseudo latynoskiej egzotyki, sztydząc z miłośności medialnych narracji oraz internetowych przekazów, już od początku lat 90. wiedział, że jest bardzo poważnie chory na wirusowe zapalenie wątroby. Oczekując na przeszczep, Roberto Bolaño umiera nagle 15 lipca 2003 roku w szpitalu w Barcelonie, na kilka dni przed planowaną operacją, z którą ciągle zwlekał, chcąc dokończyć ostatnią monumentalną powieść pt. *2666* (2004). Ta wielowątkowa, paradokmalna powieść o szalonej eskapadzie kilku poetów, terrorze mafijnej władzy i bestialskiej masakrze kobiet na pograniczu Meksyku i USA, przyniosła Roberto Bolaño największą sławę i międzynarodowe uznanie oraz status jednego z najwybitniejszych pisarzy latynoamerykańskich, o talencie porównywalnym z takimi arcy mistrzami prozy i konwencji literackich jak Jorge Luis Borges (1899-1986), Gabriel García Márquez (1927-2014), Julio Cortázar (1914-1984) czy Mario Vargas Llosa (1916). Jak podkreśla Nina Pluta (cytuje): *podstawą zbliżenia powieści Roberto Bolaño i autora „Gry w klasy” może być fragmentaryczność i efekt totalności*” (op. cit., s. 471).

(Dokończenie na stronie 10)

# Potęga i strategia dezorientacji

(Dokończenie ze strony 9)

W każdym z pięciu rozdziałów powieści 2666, która jest metaliterackim traktatem, zastosował **Roberto Bolaño** całkiem inne, oryginalnie rozwinięte, środki stylistyczno-fabularne, które nawiązują do formy powieści kampusowej, surrealistycznej, bitnikowskiej, szkatułkowej oraz dydaktycznej, co spowodowało, że powieść 2666 została wyróżniona m.in. nagrodą Ciudad de Barcelona Prize, nagrodą Salambó Award, nagrodą pisarzy hiszpańskich, nagrodą pisarzy chilijskich Altazor Award oraz ponownie Municipal Prize for Literature Santiago de Chile.

Jak pisze profesor Nina Pluta (cytuje): *prowadząc czytelnika od wydarzenia do wydarzenia, narracja Roberto Bolaño porzuca go miejscami bez wyjaśnień, zostawiając masę przeczuć, że oto dzieje się coś fascynującego lub przerażającego, czego wyjaśnić nie sposób. Jego styl, z pozoru zażyły i kolo-kwialny, potrafi być bezkompromisowy i oniryczny. Przedstawia brutalne wydarzenia współczesności, jak w porażającym opisie zwłok kobiet mordowanych na pograniczu meksykańsko-amerykańskim w powieści „2666”. Z obiektywnych, fizjologicznych faktów tworzy hiperrealistyczną wizję, która graniczy z obłądem (op. cit., s. 472).*

Natomiast dr Aleksander Trojanowski w swojej książce *El arte de la desorientación. Humor, ambigüedad y juego en la narrativa de Roberto Bolaño* (e-book, Wyd. Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 2021, s. 268) udowadnia przekonująco, że (cytuje): *autor prowadzi z odbiorcami swojej prozy pewną grę, w której dezorientuje, zwodzi, wybija z przyzwyczajęń, rozbija schematy poznawcze, a techniczny wymiar konstruowania takiej narracji ma znaczenie głęboko etyczne, bo konfrontuje czytelników z problemami moralnymi, politycznymi, ideowymi w taki sposób, że stają się oni bezpośrednio i nieodwołalnie zaangażowani w rozstrzygnięcie tych dylematów.*

Można zaryzykować tezę, że **Roberto Bolaño**, dzieląc niektóre przekonania naszego wybitnego rodaka Josepha Conrada (1857-1924), którego 100. rocznica śmierci przypada w bieżącym roku, w ogóle nie wierzył w dające się skodyfikować dobro natury ludzkiej i jakkolwiek postęp społeczny. W swojej twórczości, tak jak wcześniej autor *Jq-dra ciemności* (1902), próbował udowodnić, że okupiony śmiercią, przemocą i obłądem rozwój cywilizacji, a raczej jej narastający wielokierunkowy kryzys w końcu XX wieku, nie ma nic wspólnego z udoskonaleniem życia przeciętnego człowieka. Obserwowane od 1980 roku w większości krajów na świecie tzw. społeczne efekty globalizacji nie pozwalają jednoznacznie zaprzeczyć z pokolenia na pokolenie narastającemu przekonaniu, że człowiek to ułomna bestia, a

cywilizacja to tylko perfidny kamuflaż, że okrucieństwa nielicznych bogatych wobec rzeszy ubożających biednych, powielane w relacjach przemocy i hierarchii, nie da się powstrzymać, a tylko co najwyżej przesłonić taką czy inną spektakularnie podaną ideą, modą, manipulacją lub kolejną aplikacją.

Roberto Bolaño, tak jak kiedyś Joseph Conrad – podobnie jak on przymusowy emigrant, który zmagał się z nieuleczalną chorobą zakaźną i genialny pisarz samouk, będący ofiarą tytoniowego nałogu – dobitnie oświadcza, że w powieściach i opowiadaniach nie ma już czego odsłaniać, udowadniać czy unaoczniać. Wręcz przeciwnie – pisze powieści i opowiadania o zbrodniach, kłamstwach i przemilczeniach, o tym, że aby współcześnie móc jako tako przeżyć wśród ludzi trzeba – paradoksalnie i przewrotnie – ciągle pozostawać w jakiejś formie nieświadomości, która poprzez związane z nią rozproszone narracje formułuje swoje żądania i wskazuje na indywidualnie postrzegane r ó z n i c e między degeneracją, standardem i luksusem. Nawiasem mówiąc, to już Szekspir słowami Hamleta zauważył, że to właśnie świadomość czyni nas tchórzami (przeł. Stanisław Barańczak (1946-2014)), którzy nigdy nie sprostają wyzwaniom autentycznego życia.

W Polsce ukazało się dotychczas kilkanaście zbiorów opowiadań i powieści Roberto Bolaño (por. portal czytelniczy *lubimyczytac.pl*), które tłumaczyli na j. polski m.in. Carlos Marrodán Casas, Tomasz Pindel, Nina Pluta, Anna Topczewska, Katarzyna Okraso, Jan W. Rajter, Marta Szafranska-Brandt, oraz ciągle nieliczne opracowania krytyczno-literackie poświęcone jego twórczości w postaci artykułów m.in. prof. Arkadiusza Żychlińskiego oraz dr Zofii Grzesiak, rozpraw doktorskich m.in. dra Arkadiusza Trojanowskiego (2020), czy też monografii naukowych, m.in. prof. Wojciech Charchalis, prof. Arkadiusz Żychliński (red.), *Katedra Bolaño: szkice krytyczne*, Wyd. UAM, Poznań 2015, s. 192. Nie spotkałem się jak dotąd z przekładami poezji Roberto Bolaño na język polski, chociaż istnieją uhonorowane wieloma nagrodami przekłady na język angielski, których dokonała Laura Healy, redaktorka „*The Harvard Review*” (Cambridge, MA), opublikowanych w USA w formie trzech książek „*The Romantic Dogs*” (2008, s. 160), „*Tres*” (2011, s. 173) oraz „*The Unknown University*”, (2013, s. 848).

prof. Grzegorz Bazylak



Roberto Bolaño (1953 – 2003), gdzieś w Blanes, Costa Brava (Hiszpania), rok 1999.

# Roberto Bolaño (1953-2003)

## Godzilla w Meksyku

Posłuchaj mnie, mój synu: na miasto Meksyk spadły bomby ale nikt tego nie zauważył. Ulice wypełniło zatrute powietrze, duszący dym wpadał do mieszkań przez otwarte okna. Ty właśnie kończyłeś śniadanie i oglądałeś kreskówki w telewizji. Ja w pokoju obok czytałem wiersze, kiedy zrozumiałem, że obaj zaraz umrzemy. Pomimo młodości, bólu szczęki i zawrotów głowy doczołgałem się do kuchni, zobaczyłem cię na drżącej podłodze. Uściskaliśmy się jak zwykle. Zapytałeś, co się stało, a ja, zamiast ci powiedzieć, że jesteśmy na celowniku, że biegniemy w tłumie na oślep na wezwanie śmierci, szepnąłem: jedziemy razem w daleką podróż, tylko ty i ja, nie obawiaj się, synu. Kiedy minęło najgorsze, okazało się, że śmierć nawet nie kiwnęła palcem, aby zajrzeć nam oczy. A w tydzień później zapytałeś: czym my właściwie jesteśmy? Czy żyjemy jak mrówki albo pszczoły lub jesteśmy jak te błędne numery, na które nigdy nie padnie wielka wygrana? Jesteśmy ludźmi, mój synu, zaledwie postaćmi marzeń i tragarzami tajemnicy, jak wszystkie wędrownie ptaki i sezonowi bohaterowie.

## Z księżycem, ze słońcem

Kochanie, zawsze zbliżasz się do mnie, kiedy jestem całkiem samotny, albo bardzo zmęczony, domyślam się, że jesteś kimś ze starej historii, kimś po prostu szczęśliwym, kimś ze wzrokiem ptaka przelatującego przez noc, kimś ze spojrzeniem niewinnego świadka, albo małej dziewczynki, która nie rozumiejąc nadchodzącej katastrofy, postanawia przespać ten zły czas. Przychodzisz do mnie, kiedy najbardziej potrzebuję twojej obecności, twego nagiego ciała, które wypemnia mądrość słodkich i strasznych historii.

## Mój prezent dla ciebie

Mój prezent dla ciebie będzie otchłanią, powiedziała, ale będzie przy tym tak subtelny, że go dostrzeżesz dopiero po upływie wielu lat, gdy będziesz gdzieś daleko od Meksyku i ode mnie. Znajdziesz go akurat wtedy, gdy najbardziej tego zapragniesz, a i tak w takiej chwili nie nastąpi szczęśliwe zakończenie, ale raczej chwila pustki i radości. I może dopiero w tym momencie naprawdę mnie zapamiętasz, jeśli kiedyś kochałeś tylko trochę.

Przełożył z j. hiszpańskiego Grzegorz BAZYLAK

# „Literaci”

(Dokończenie ze strony 4)

Tomik pięknie wydany, w twardej oprawie, a jego szatę graficzną stanowiły reprodukcje dzieł wybitnych malarzy. Autorem owego koszmaru była osoba znana: wybitny naukowiec politechniki, zajmujący wysokie stanowiska, nagradzany i odznaczany (słusznie!) autorytet moralny środowiska. Na dodatek wzorowy mąż, ojciec oraz dziadek. Słowem, ideał i wzór cnót wszelakich. I oto ten niezwykle człowiek, duma miasta, który w życiu osiągnął prawie wszystko, postanowił, że musi się jeszcze dowartościować, zostając... poetą. Skoro na przykład taka Wisława dostała Nobla, to może on też?! A że był niezwykle ambitny, doszedł do wniosku, że profesor zwyczajny musi zostać nadzwyczajnym poetą!

Z wydaniem tomiku nie było najmniejszego problemu. Słowo wstępne napisał sam burmistrz miasta, a na ostatniej stronie kilkadziesiąt zachwyty zamieściły miejscowe autorytety, choć jestem przekonany, że zdawali sobie sprawę z żałosnej zawartości książeczki. Jeśli nie, to tym gorzej i straszniej. I nikt nie miał odwagi krzyknąć (jak chłopczyk w baśni Andersena, że „król jest nagi!”), iż te rymowanki wybitnego naukowca to ramota, szmira, grafomania, i idiotyzmy totalne! Później odbyło się, w reprezentacyjnej sali ratusza, spotkanie, prezentujące wydany tomik oraz narodziny nowego „poety”. Zjawili się wszyscy liczący się w mieście: przedstawiciele władz, biznesu, nauki i kultury, a nawet kościół – tym bardziej tym razem na miejscu, że były to wiersze religijne. Pan profesor, drżącym ze wzruszenia głosem, czytał swoje wycieczki, widzowie słuchali z przejęciem i w nabożnym skupieniu, które było co jakiś czas przerywane nastrojowymi dźwiękami zabytkowej harfy, obsługiwanej przez równie zabytkową, acz fałszującą niemiłosiernie harfistkę. Gdy autor skończył, zapanowała cisza jak makiem zasiał. Zaraz potem rozległy się burzliwe oklaski, przekształcające się w owację na stojąco. Wylało się też morze dziękczynnych mów, gratulacji, łanów kwiatów i niezliczonych cmokań zaczerwienionej podwyższonym ciśnieniem i emocjami buzi. Wzruszenie „poety” było szczere, spontaniczne i tak wielkie, że nie było go stać na więcej, niżli znamienne słowa:

– Jestem taki szczęśliwy... Nie spodziewałem się... Ale nie zawiodę państwa i obiecuję, że jeszcze w tym roku ukażą się... kolejne dwa tomiki!

Nie wiedziałem, co począć: czy zapaść się pod ziemię ze wstydu, czy pęknąć ze śmiechu. Wtedy stała się rzecz straszna: bohater wieczoru podszedł do mnie, i na oczach wniebowziętych wielbicieli zapytał:

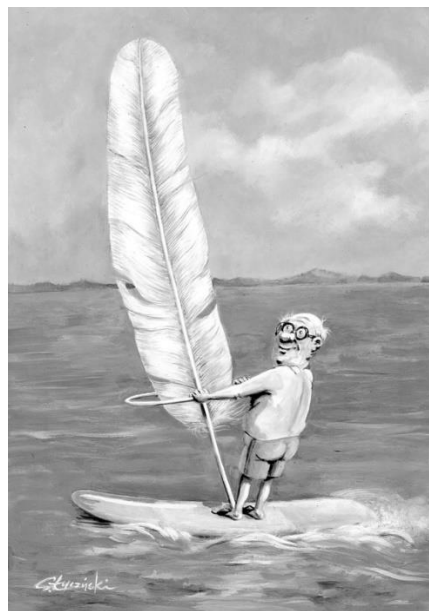
– A pan co sądzi o moich wierszach?!

Do dzisiaj mam kaca moralnego, bo stchórzyłem!! Stałem się cykorem i trzęsidupką!!! Wziąłem czynny udział w tym żałosnym spektaklu próżności i wydukałem tylko, że jestem przekonany, iż te wzruszające wiersze pisał człowiek głębokiej wiary... To prawda,

natomiast po stokroć ważniejszą prawdę stanowią fakt, iż wierszydła były totalnie koszmarnie! Niestety, zabrakło mi odwagi cywilnej, by to wprost i jednoznacznie powiedzieć. Gdy o tym myślę, jeszcze dziś czuję się fatalnie, z zasadnym poczuciem wielkiej winy...

Te trzy banalne historyjki – które można by mnożyć – obrazują, jak wielka jest chęć publikacji, pokazania się, zaistnienia, parcie na... druk!

Rodzi się też głębsza refleksja: jak istotna jest świadomość własnych predyspozycji, ale też własnych ograniczeń, tak, by talenty pomnażać (jak zapisano w najmądrzejszej Księdze!), a niemożności przyjąć z pokorą i nie trwonić sił nadaremno. Bo to tak, jakby słoń chciał zostać motylem. I choćby w to wierzył oraz ćwiczył całymi latami, wachlując uszami, to i tak nie poprunie. A i motyl nie uniesie swoją lichą trąbką kłody drewna, choćby całe wieki trenował kulturystykę. Ważne to szczególnie dzisiaj, gdy o publikacji decyduje najczęściej nie wartość proponowanych „dzieł”, a pieniądze, zaradność, siła przebicia, operatywność, autoreklama, „parcie na szkło” i „na papier”. Marnotrawstwo papieru jest obecnie chyba największe w całych dziejach ludzkości, ale papier wszystko wytrzyma, więc marnotrawstwo też!



Rys. Sławomir Łuczyński

Tutaj pojawia się dręczące pytanie: czy każdy może pisać i w dodatku jeszcze publikować??? Odpowiedź jest krótka: może! Ale czy mu wolno, czy powinien? Można, oczywiście, stwierdzić, że pisanie to niegroźne dziwactwo, bzik, pożyteczne zabijanie czasu w grupkach wzajemnej adoracji, towarzyskie spotkania, będące namiastką życia literackiego, chęć stadnych działań, nowe znajomości pokrewnych dusz (a czasem i cia!), realizacja niespełnionych marzeń o młodości na emeryturze, zapełnianie samotności, konik na biegunach wyobraźni... Niestety, dzisiaj jest to niebezpieczne, ponieważ istnieje niewiele ogólnopolskich pism, zajmujących się literaturą i obiektywną krytyką (zakładamy, że taka może być), a w podziemiach wierszy oraz niezliczonej ilości

antologii (nawet międzynarodowych na poziomie sołectwo-gminnym!) toną, a nawet nie mogą wypłynąć autentyczne talenty!

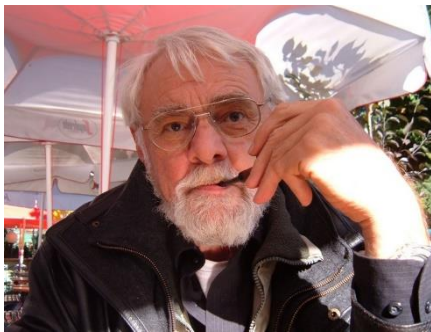
Oczywiście, grafomańskie wiersze nie przetrwają, a beztalentność nie przejdą do historii, ale mogą czynić i czynią spustoszenie w głowach (nielicznych niestety) zdezorientowanych czytelników. Dodatkowo media społecznościowe pozwalają na wszystko, także na bezkarnie lansowanie się rzeszom, tłumom, nieprzeliczonej cizbie piszących wiersze, a spragnionych chwwały i sławy. Najczęściej owi autorzy (głównie panie) proponują przelane na papier (czyt. ekran) porwywy duszy, wzbogacone fotkami samych autorek albo reprodukcjami dzieł malarzy (tu wchodzi też panowie), które są po wielokroć ciekawsze niż główny „produkt”, a mają tylko uatrakcyjnić „poezję”, ukryć nieporadności, czy sprawić, że nędzna rymowanka załśni w atrakcyjnym towarzystwie. Mówiąc obrazowo, to podróbka hipermarketów, w których najważniejsze jest... opakowanie! Stąd liczne łańcuszki z wierszykami, konkursiki z dyplomikami, nagrodziki przyznawane samym sobie, blogi, grupki, podgrupki, ćwierćgrupki oraz relacje z „wielkich” imprez z udziałem... kilku przypadkowych widzów (jeszcze przed pandemią)...

Czemu o tym piszę? Bo jestem nie z tej epoki, a debiutowałem w czasach, gdy profesjonalne wydawnictwa (tylko takie wtedy istniały) drukowały dwa debiutanckie tomiki... rocznie! Czekano na to około trzech lat! W prestiżowych, organizowanych wtedy konkursach (np. w Łódzkiej Wiosnie Poetów, czy w poznańskim Konkursie im. Klemensa Janickiego), brało udział około tysiąca autorów, więc zdobyte nagrody rzeczywiście coś znaczyły! Oczywiście, to również nie było normalne! Wszak już staro Grecy Rzymianie słusznie zauważyli, że najważniejszy jest złoty środek. A my współcześnie tułamy się po szarych obrzeżach, oszukując siebie i naiwnych bliźnich, wmawiając światu, że jesteśmy wybitni! Chyba w stwarzaniu pozorów! I pewnie do głowy by nie przyszło genialnemu Mikołajowi Kopernikowi, że sformułowane przez niego prawo ekonomiczne sprzed ładnych kilkuset lat, zgodnie z którym „zły pieniądz wypiera lepszy”, znajdzie zastosowanie także w tak niewymiernej dziedzinie, jaką jest poezja, albo posłużmy się bezpieczniejszym stwierdzeniem, pisanie tekstów (by nie obrażać poezji!). Żyjemy jednak w świecie fałszu, zakłamań, braku autorytetów, byle jakości i brnięcia w chaos, więc i słowo pisane porywane jest nurtem smętno-mętnej rzeki bez brzegów. Tym większa winna być odpowiedzialność rozumnych istot za Słowo, Dobre Słowo. I smutno, choć perlisty śmiech się sypie groszkiem (rzucanym o ścianę) gdy strawestujemy słowa piosenki, zaśpiewanej wspaniale przez Jerzego Stuhra: Pisać każdy może, trochę lepiej, lub trochę gorzej..., ja się wcale nie chwale, ja po prostu niestety mam talent...

W prozaicznej rzeczywistości wiążącość jednak niestety, nie ma talentu, który dany jest przez nieobliczalną i nieprzekupną Naturę tylko nielicznym wybrańcom...

**Juliusz Wątroba**

## Zamyślenia



Fot. Andrzej Dębowski

## Narastanie ciemnych czasów

*Sierpniowe rocznice pamięci... kolejna rocznica wybuchu Powstania Warszawskiego, a szerzej ujmując, Narodowy Dzień Pamięci Powstania Warszawskiego, Bitwy pod Grunwaldem. Tu przypomniał mi się stary dowcip polityczny, otóż babcia oglądając album ze starymi fotografiami, mówi do wnuczka:*

*- Tu babcia z twoim dziadkiem nad morzem, a tu w górach. Dziadziusi miał taki czarny garnitur z taką opaską na ramieniu...*

*- A dlaczego dziadziusi tak wyciągał rękę - pyta wnuczek.*

*A babcia na to...*

*- Bo widzisz, pan Hitler wywołał wtedy wojnę i dziadziusi mu grozi...*

---

### Kazimierz Iwosse

---

Cóż, czas szlifuje i pokieruje naszą pamięć, nakładając na nią nowe wydarzenia. Oto znaleźliśmy się nad krawędzią przepaści za sprawą wywołanej przez zbójcejkę Rosję wojny z Ukrainą. I tu inna babcia i inny wnuczek, który woła do babci:

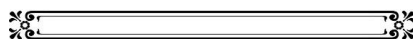
*- Babuszka, uchadi! Na płoszczadce Breżniew, do niewo strelajet! Strelajet, a nie magli adnym strielom ubit jewo?!*

Ale żarty na bok. Otóż ta nasza pamięć nie jest zamknięta w jakichś silosach bólu i udręki, w tym jednym naczyniu, trwa w rozproszeniu i ciągle powraca uporczywie. Ale jest jeszcze jedna lipcowa rocznica. Krwawa Niedziela, punkt kulminacyjny rzezi ukraińskich nacjonalistów na Wołyniu. Mój Boże, czy te nasze rany i blizny mogą być naszą siłą? Czy takie jest nasze przeznaczenie? Miliony ludzi zagnało hitlerowskich obozów koncentracyjnych, miliony stalinowskich łagrów, obozów pracy. I tak oto więzienia i obozy stały się stygmatami minionego stulecia. Bezimienni Łazarza wari pomników, ale jak wybudować ich miliony? Jeżeli Rosja sowiecka za sprawą Sołżenicyna ma taki literacki pomnik pamięci („Archipelag Gułag”), to Niemcy także posiadają świadectwo hańby narodowej, do czego przyczynił się pisarz Horst Bienek, pisząc

„Celi”. Miał 21 lat, kiedy 8 listopada 1951 roku został aresztowany przez Sowietów, a były to władze okupacyjne i skazany przez wojskowy trybunał na 29 lat robót przymusowych w workuckim obozie karnym, między północnym Uralem a Morzem Łodowym. Był wówczas studentem w Berlinie Wschodnim, a skazany został za „antyradzieckie szczucie”. Oto po 1945 roku wytworzył się w Niemczech (i nie tylko tam) tzw. nurt literatury więziennej. Nurt ten obejmował na początku (i opisywał) przejścia antyfaszystów niemieckich w obozach zagłady. Była to swego rodzaju gloryfikacja tychże antyfaszystów (trochę ich było). W tamtym czasie głośno było o książce Apitza „Nadzy wśród wilków”. Jak pamiętamy, wiele czasu musiało upłynąć, aby obóz w Buchenwaldzie stał się muzeum martylogicznym, bowiem do roku 1950 służył on jako obóz koncentracyjny sowieckim władzom okupacyjnym. Podobnie zresztą jak nasz w Budziszynie, stanowiący więzienie urządzone przez PRL-owskich oprawców. Tak więc Bienek zaliczony został za sprawą „Celi” do przedstawicieli fali literatury więziennej obok np. Waltera Kempowskiego, czy też Gerharda Zwarenza, który też opisywał terror pierwszych lat po utworzeniu NRD.

Bienek wiele miesięcy spędził w pojedynczej celi. Los człowieka zamkniętego sam na sam ze sobą, człowieka gnijącego za życia (cierpiał na poważną chorobę skóry). W opisie Bienka znajdujemy po trosze Dostojewskiego, Kafkę czy też Sołżenicyna. Napisał „Celi” w roku 1968 zyskując uznanie literackie. Oczywiście jego książki wcześniejsze jak „Pierwsza Polka”, czy „Wrześniowe światło”, nie mogły w tamtym czasie być wydane w Polsce. „Cela” ukazała się w Niezależnej Oficynie Wydawniczej podczas stanu wojennego. Rys autobiograficzny w tej książeczce jest okrojony, autor zatrzymał bieg własnych przeżyć wyłącznie na celi więziennej. „Wszystko inne jest wymysłem”, napisał w postwowie autobiograficznym. Główna postać to nauczyciel rysunków, oczywiście starszy od autora o dwadzieścia lat. Jest to bohater bezimienny „i taki ma pozostać - jak owe miliony ofiar”, wyznaje w postwowie.

W tamtych, coraz bardziej odległych latach, Peter Jokostra, jeden z krytyków napisał: „Cela” Bienka jest pomnikiem bezimiennego Łazarza z połowy stulecia. Książka Bienka pozostaje jedynym świadectwem Archipelagu Gułag w języku niemieckim. Oto zatrzymany w miejscu czas, w którym autor zapisuje istnienie z unicestwieniem”. Cóż, Bienkowi udało się uciec z celi, a stało się to pewnego kwietniowego dnia 1968 roku, kiedy skończył pisać „Celi”... A pisał tę książkę podobno wyłącznie nocą. Po czterech latach pobytu w Workucie, Bienek powrócił do Niemiec amnestionowany, a więc były to niejako dwa powroty. W Polsce za wyjątkiem „Roku w trumnie” Konwickiego, nie dorobiliśmy się znaczącej literatury rozliczeniowej. Lepiej wygląda tu sprawa w twórczości kinematograficznej. Może z czasem... Cóż, czas biegnie z nowymi kłękami człowieka...



## Daniela Ewa Zajączkowska-Hynas

### Z innego świata

Powrót z piekieł nigdy nie jest łatwy wracający noszą piętno na życiorysie duszy przedramieniu nie są już z tego świata i nie wiedzą jak w nim żyć

bliscy którzy na nich czekali którzy ich kochają są bezradni na przeciwległym brzegu rany życia

bliscy już bliskich nie poznają próbują się usłyszeć dojrzeć jakby rozmawiali z duchami jakby kochali zjawy

droga z piekieł nigdy nie jest prosta i nieważne jakie to było piekło kto i jak tam trafił winny czy niewinny

wciąż odprawia pokutę i jest na fasce czasu i pamięci

### Za kurtyną

Za błękitną kurtyną słonecznego dnia pulsuje płomienna ciemność ciało i dusza chronią się pod osłoną nieba lecz przez okno snu wlatuje kosmos i budzi w nas skłębione fale opowieści

Niekiedy śnimy na jawie niekiedy budzimy  
we śnie

życie biegnie my upadamy i znów się podnosimy i znów upadamy uwięzieni w zabójczej sztafecie pokoleń określani lub naznaczeni przez historię

Świadomie nieświadomi nieświadomie świadomi rozpisani na czasy i wydarzenia na powszechne narracje i grzechy śnimy sen zbiorowości w indywidualnym wariacie losu

A za szarą kurtyną chmur za błękitną kurtyną nieba pulsuje nieskończoność jak pytanie zadane przez Boga



## Kozetka (103)



## Szczęście w nieszczęściu

*Spokojne serce dostrzega  
świętowanie w każdej wiosce.*

*(przystawie indyjskie)*

### Joanna Friedrich

Jestem w proszku.

Coraz częściej jestem w proszku, co raz mniej mi to przeszkadza.

Można powiedzieć: Lubię to. To letnie roz-targnienie, rozedrganie.

Najweselsze o tej porze roku są dzieci. Zresztą one po prostu budzą się wesołe.

A my? Czy żyjemy tylko w dzieciach, czy także w tych, których kochamy i podziwiamy. Za którymi tęsknimy najbardziej.

Koniec czerwca – ulubiony czas dzieci, czas pełen obietnic. Dzieci kochają lato, dorosli doceniają (nawet) jesień. Lubię i to i to. Czemu nie. Można lubić wszystko.

Czasem myślę, że ludzie piszą za dużo – a czasem wręcz odwrotnie – że za mało, dokładnie tak samo mam ze swoim pisaniem (o mówieniu nie wspominając) i nie do końca wiem, od czego to zależy, od motywacji zewnętrznej, czy wewnętrznej. Na pewno urzeka mnie piękno, na zakończeniu przedszkola dwie pachnące sorbetowymi perfumami mamy tak ładne oczy, podkreślone makijażami, że wyglądały jak z indyjskiej baśni. Wyglądały, jakby wyszły ucharakteryzowane z bajki. Biła od nich fiołkowość, lazurowość, miętowość, groszkowość. Młoda Polska. Mama, która siedziała najbliżej mnie miała oczy w kolorze karmelu w oprawie czekoladowych rzęs poprzetykanych różowymi kępkami. Czekolada z malinami. Kosmos.

Dziecięcy kosmos, tak mamy rozkwitają na widok swych pociech. Dzieci w tym wieku mają wciąż jeszcze bardzo plastyczną, nie uśpioną wyobraźnię, jestem przekonana, że widzą je jeszcze pięknie. Patrzą sercem. Tatusiowie też byli, tylko twarze pozakrywane mieli telefonami bo kręcili pamiątkowe filmy. Panie przedszkolanki mogły wreszcie rozpuścić włosy i wyglądały jak odlotowe księżniczki.

Dzieci przejęte występami zebrały burzę oklasków.

O macierzyństwie piszę na zamówienie znajomych mam. Znajome i niezajome mamy:

Z rozpędu matkujemy całemu światu. Wszystkie dzieci nasze są. Z rozpędu czasem patrzmy na świat oczami dzieci. Łapiemy chwile, jak motyle. Patrzymy na świat z perspektywy metra trzydzieści trzy-cztery. Na tej wysokości motyli jest więcej. Więcej kuf psów i kocich ogonów też więcej. Głosy dorosłych niktą gdzieś w oddali. Bardzo dobrze za to słychać ptaki – o tej porze roku śpiewają najgłośniej. Gdyby Krystyna Czubówna chciała coś powiedzieć, ścieżkę z jej wokalem trzeba by dodatkowo podkręcić.

Jest 33-34 stopnie, więc lepiej się nie męczyć. Czas na leżakowanie, które zupełnie inaczej wygląda z perspektywy 170-180cm. Jakoś Tak Bardzo Obiecująco.

Zwykle o Balmainie myślę w okolicy Gwiazdki, w tym roku wszystko jest inaczej, ten rok jest niezwykły, odkąd pozwoliłam sobie być zwykłą.

Kobieta zmienną jest.

Trochę obrazków nie zaszkodzi:



PS. Do wąchania: Wszystko od Balmain (perfumy do włosów!), do czytania – bajki. Można też je opowiadać.

C'est moi.

## Magdalena Cybulska

### Uważaj na pospieszne

Przechodzimy przez tory w niedozwolonym miejscu. Skaczymy z nasypu. Osypują się kamyki i obłoki. Trzeba się rozejrzeć czy na pewno nic nie jedzie, a potem bieć ile sił w nogach. Wiele razy to robięś. Nabrałeś wprawdy. Próbujesz nauczyć mnie tego miasta.

Ale szlaki autobusów są dla mnie obce. Uliczki dzikie i nie umiem ich oswoić. Kierowcy tutaj nigdy nie zwalniają. Jakby sądzili, że na ziemi i w niebie zawsze mają pierwszeństwo.

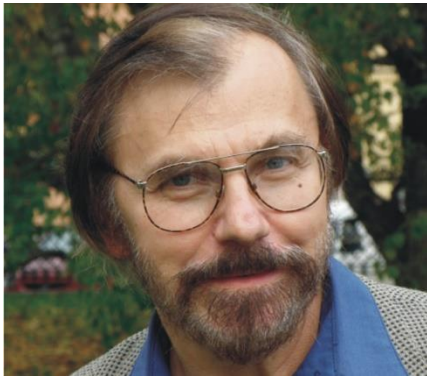
W kamienicy, którą mijamy nie pozwolono mieszkać bezdomnym. Pożalowali im kawałek dachu. Zamknięto jej oczy i usta. Pozbawiono głosu. Sygnalizator świetlny obwachuje mnie powoli. Jakby miał dużo czasu. Bezimienne drzewa czekają na jesień. Znasz je na wylot, ich gęste myśli nie mają dla ciebie tajemnic. Za tym sklepem piliście wódkę. Aby wiersze nie spostrzegły. Bo one są zbyt dobrze wychowane i zawsze trzeźwe. Dlatego poeci muszą się przed nimi ukrywać. Słońce zleciało gdzieś za rondo, ale nie będę go szukać. Wieczorem miasto przeciera oczy. Bo wcześniej nie widziało tyłu samochodów. Wszystkie głodne i zniecierpliwione. Poznali nasz sekret i budują przejście podziemne. Ktoś zginał bowiem pod kołami pociągu. Żyjemy. To znaczy, że nasz nasyp jest całkiem bezpieczny. Czasem trzeba jednak uważać na pospieszne, bo te potrafią się spóźnić i wylatują bez pozwolenia z rozkładu, gubiąc pióra.

## Iwona Pinno

### Ojcowska dłoń

Trzymałeś moja małą rączkę  
wpatrzona w twoje duże ślady  
próbowałam kroczyć  
stopa za stopa  
by ich nie zgubić w biegu życia  
fale rozstań rozmywały je ciągle  
wśród wspomnień tamtych dziecięcych lat.  
Opowiedz mi to jeszcze raz  
te baśń z tysiąca snów  
o miłości, która po grób  
nauczyła się od ciebie  
wieszać frazy na chmurach uczuć  
i obrazy pod powieka  
zatrzymać na zawsze  
dziś podtrzymuje ciebie  
i za rękę biorę  
by raz jeszcze przejść  
zielony las naszych dni  
od początku po wieczność.

## Listy do Pani A. (193)



Fot. Andrzej Dębowski

## Dwa Michały

Droga Pani!

Niedawno Arkadiusz Frania, świetny poeta, prozaik, eseista, krytyk literacki, doktor nauk humanistycznych, autor 20 książek, z którym – jeżeli tak można powiedzieć – jestem w korespondencyjnej przyjaźni, przysłał mi sporą książkę o twórczości Tadeusza Gierymskiego, poety związanego z regionem częstochowskim. I tutaj Frania zrobił bardzo dobrą robotę. Przypomniał oto wybitnego poetę, który niesłusznie został zapomniany. Tak to bywa. Jeżeli twórca działa poza wielkimi centrami, nie rozpycha się i nie wrzeszczy o sobie, jak to często bywa w naszym życiu literackim, to najczęściej skazuje się niejako na niebyt. Tadeusz Gierymski należał do tych poetów, którzy nie reklamowali się na siłę, a zatem tylko nieliczna grupa znawców i miłośników poezji zachowała go w żywszej pamięci. Należy do niej Frania, który już kilkakrotnie pisał o twórczości tego poety, zresztą bardzo mu bliskiego nie tylko z powodu twórczości, ale i miejsca zamieszkania – Gierymski także był związany z Częstochową. Obaj panowie znali się i cenili.

Gdyby Pani była moją uczennicą zadałbym Jej obowiązkową lekturę tej książki. Po pierwsze jest świetnie napisana, rzuca światło na twórczość tego wybitnego, niesłusznie dziś pozostającego w cieniu, poety. Sam bardzo go ceniłem, choć nie miałem okazji zetknąć się z nim osobiście. Z przyjemnością znalazłem w tej książce Frani, w przypisach, swoje nazwisko. Tak, pisałem i ja również o twórczości tego poety. Tym bardziej cieszę się, że Arkadiusz Frania pisząc to świetne studium uwzględnił także moje głosy na temat świetnej poezji Gierymskiego.

Nazwisko poety upamiętniło się w polskiej kulturze między innymi dzięki jego rodzinnym powiązaniom z Aleksandrem i Maksymilianem Gierymskimi, znakomitymi malarzami. A ja teraz bardzo często spaceruję piękną ulicą Braci Gierymskich, jednocześnie myśląc o twórczości poety Tadeusza.

Zamyślam się nieraz nad losami wielu poetów, którzy nie mają takich szans, aby dobitnie zaznaczyć się w pamięci szerokiego kręgu

czytelników, choć wielu z nich nie ustępuje tym, których uważa się za „klasyków”.

Ostatnio czytam wiele biografii, nie tylko pisarzy. Są pełne anegdot, które podtrzymują żywą pamięć o ludziach. Przypominam sobie np. Mieczysława Czechowicza oraz Wiesława Michnikowskiego, wybitnych aktorów, znanych z wielu pierwszorzędnych ról. Ale też z wielu anegdot. Czechowicz, wysoki, tęgi, zwalisty, Michnikowski drobny, średniego wzrostu. Tworzyli na scenie zabawny kontrast. Publikacja nie zawsze zapamiętuje aktorów z wielkich ról, czasami z kabaretowych, które też bywają w swojej klasie wielkie. Pisze o tym Hanna Faryna-Paszkwicz w swojej książce „Czechowicz. Hrabia, miś czy drań”. To Czechowicz z Michnikowskim tworzyli przeabawny duet w Kabarecie Starszych Panów, kreując Sporego i Niedużego w piosence „Tanie dranie”. Ale literatura jest inną dziedziną, choć do dzisiaj pamięta się na przykład satyryczne wierszyki Mariana Żaluckiego. Ta wzmianka o „Tanich draniach” przypominała mi zupełnie prywatną scenę.

Oto po jakichś bachanaliach ze świętej pamięci Zbyszkiem Doleckim (on też jako poeta nie pozostał w powszechnym obiegu, a zasłużył na to) nie bardzo byłem w stanie wracać do domu samodzielnie. Mieszkałem wówczas w Zalesiu Górnym. Zbyszek zaofiariował się heroicznie, że mnie odwiezie. Nie bardzo pamiętam naszą podróż, Zbyszek upewniał się co jakiś czas, czy rzeczywiście wiem, gdzie mieszkam. Zapewniałem go bełkotliwie, że wszystko pod kontrolą. Wreszcie jakoś dobrnęliśmy do domu. Otworzyła nam moja żona. Zbyszek trzymał mnie za kaptotę, prawie bezwładnego, niczym króliczka skórki. „Przyprowadziłem pana Doleckiego” – wybełkotałem. „Kto kogo!” – zauważyła sarkastycznie moja żona.

Nasz duecik wyglądał nader zabawnie, co zresztą bawiło i naszych redakcyjnych kolegów. Tańczyły dwa Michały...

Kiedyś w naszej rozmowie o muzyce padło nazwisko „Dietrich Buxtehude”. Powiedziałem wtedy: „ja jestem Buxtehude, a ty Zbyszku Buxstegrubie...” Zawsze lubiliśmy kalambusy. Jaka szkoda, że już ich więcej nie będzie, ani naszego dueciku, ani bachanalii.

A mnie dopada skleroza. Niedawno pojechałem zatankować samochód. Wróciłem, zaparkowałem, dołałem jeszcze płyn do spryskiwacza, zamknąłem auto, zabrałem kanisterek po płynie i zaniósłem do śmietnika. Nagle skonstatowałem, że nie mam na nosie okularów. Wróciłem, przesukałem cały samochód. Zajrzałem pod maskę, do bagażnika, wewnątrz do wszelkich możliwych zakamarków – i nic. Ania przyszła, zaczęła bystro szukać, ale też nie znalazła. Zdematerializowały się, ale w którym momencie?

Do dziś zachodzę w głowę, co się z nimi mogło stać. Przecież miałem je przez cały czas na nosie. Może zdjąłem je podczas nalewania płynu? Jedyna możliwość to ta, że wyrzuciłem je bezwiednie wraz z pustym kanisterkiem do śmietnika. Ale jakoś w to nie za bardzo chcę mi się wierzyć. Zaraz następnego dnia zamówiłem nowe. Zgubione miały już ponad dwadzieścia lat. Miały też z lekka porysowane

szkła. Już wcześniej nosiłem się z zamiarem kupienia następnych. Zagadka pozostała zagadką, i wciąż mnie nurtuje.

Życie potrafi zaskakiwać, i to w dużo poważniejszy sposób. Na pobliskiej ulicy omal nie doszło do tragedii. W piękny, bezwietrzny dzień nagle przewróciło się grube drzewo. Niczym zdeklasowany arystokrata: oderwało się od korzeni. Korzenie zostały w glebie, a pień wraz z koroną runął na ziemię. Mało brakowało, a zginąłby przechodzień, który jakimś cudem zdążył uciec. Bardzo lubię drzewa, jestem za, ale niekiedy stwarzają spore zagrożenie. Często zastaniają widoczność na skrzyżowaniach, gubią konary, albo właśnie ni stąd ni zowąd przewracają się. Nie mówiąc już o niebezpieczeństwie podczas huraganów. Ale z drugiej strony bez drzew trudno sobie wyobrazić miasto.

I ja sobie siedzę na uboczu. Brakuje mi trochę tzw. „środowiska”, ale z drugiej strony gdy śledzę co się tam dzieje, cieszę się, że jestem od tego piekiełka daleki. Dawniej, owszem, było piekło, ale innego kalibru. Dziś piekiełko tworzą najczęściej hordy wrzeszczących przekupek o bardzo małych rozumkach, piszące na ogół buraczane i marchewkowe wierszyki. Cóż, *signum temporis*.

Będę miał jednak pewien wgląd w twórczość autorów, zapewne różnych pokoleń. Oto przypomnieli sobie o mnie organizatorzy jednego z konkursów literackich, i zaprosili mnie do jury. Nie ujawniam, jaki to konkurs i gdzie, na to przyjdzie jeszcze czas. W każdym razie ucieszyłem się z tej propozycji. Będzie to jeszcze jeden ślad mojej publicznej działalności na dzisiejszej pustyni.

Może to kwestia wieku, ale z coraz większym obrzydzeniem i nie powiem, że bez niejakiego lęku, patrzę na to, co mnie otacza. Za wschodnią granicą wojna. Szaleje zbrodniarz, który powinien raczej wisieć, i to do góry nogami. W kraju gryzie się zbieranina oszustów, kłamców i złodziei, którzy w swoich programach telewizyjnych pozują na świętych, niepokalanych, ale i na surowych, niepokalanych inkwizytorów, którzy najlepiej wiedzą, kto ma być potępiony, a kto nie. Żyjemy trochę jak na wulkanie. Cieszę się, że nigdy w życiu nie bawiłem się w politykę, partyjki, zbawienne ideologie. Uważam, że najważniejszy jest zdrowy rozsądek i jaka taka etyka. Nic więcej. Trochę w myśl fraszki Janusza Minkiewicza (nie wiem, czy cytuję dokładnie): „nie marksista, nie katolik, ale za to alkoholik”. Gwoli wyjaśnienia: niech się Pani nie przeraża, nie piję już od dawna.

Życzę Pani najlepszych wakacyjnych wrażeń, póki jeszcze czas. Wrzesień już się zcał za plecami. Pozdrawiam serdecznie-

Stefan Jurkowski



## Rozmyślania



Fot. Andrzej Walter

## 15 lat bez Leszka Kołakowskiego

*Minęło piętnaście lat od śmierci Leszka Kołakowskiego. Pamiętam, że było to w czasie, kiedy odeszło wielu ważnych dla polskiej dla polskiej kultury ludzi. Najpierw zmarł w Warszawie Zbigniew Zapasiewicz, a trzy dni później, w Oxfordzie, prof. Leszek Kołakowski. Wielki polski filozof i myśliciel. Historyk filozofii i myśli religijnej. Jeden z najwybitniejszych intelektualistów XX wieku. Marksista i jednocześnie największy krytyk marksizmu. Wielki przeciwnik wszelkich totalitaryzmów. Jedną z największych postaci współczesnej Polski.*

---

### Andrzej Dębowski

---

Trudno sobie nawet wyobrazić, jak wielka to była strata dla polskiej kultury, dla polskiej nauki. Zastanawiam się, czy można wyobrazić sobie większą stratę. To on, jak mało kto, potrafił ukazać nam poczucie obywatelstwa i niezależności. Dawał świadectwo intelektualnej odwagi wychodzenia z cienia komunizmu. Ewolucja jego poglądów, oparta na budowaniu alternatywnej strategii myślenia w stosunku do marksizmu, powodowała, że był szukanowany. Swoimi badaniami i pracami udowodnił, że nie można uprawiać filozofii bez choćby próby myślenia o religii i rzeczywistości.

To była największa strata dla Polski od czasu śmierci Jana Pawła II, ks. Józefa Tischnera i Czesława Miłosza...

Profesor Leszek Kołakowski, urodził się w 1927 roku. Filozofia, chociaż najważniejsza, nie była jedyną dziedziną nauki i wiedzy, którą się

zajmował. Był także eseistą, publicystą i prozaikiem. A w czasach niechlubnych dla naszego kraju znakiem czystości umysłu i serca. Dojrzał i dojrzał... Za krytykę systemu, po wydarzeniach marca 1968 roku, gdy został usunięty z Uniwersytetu Warszawskiego, za popieranie strajkujących studentów, wspierał – jak tylko mógł – opozycję demokratyczną. Był inspiracją dla powstania Komitetu Obrony Robotników i Uniwersytetu Łatającego. Przepisuje mu się m.in. pomysł stworzenia w PRL wolnych związków zawodowych. Współpracował z Polskim Porozumieniem Niepodległościowym w kraju.

W 1965 roku, wraz z Marią Ossowską i Tadeuszem Kotarbińskim, sporządził opinię w sprawie pojęcia wiadomości, wykorzystaną później przez obronę w procesie Kuronia i Modzelewskiego, oskarżonych o „rozpowszechnianie fałszywych wiadomości” w *Liście otwartym do Partii*.

W latach 1977-1980 był oficjalnym przedstawicielem KOR-u za granicą i odpowiadał za kontakty między środowiskiem KOR-u i emigracją. Zanim jednak zaangażował się ruch niepodległościowy, był po drugiej stronie barykady...

W młodości wstąpił do Polskiej Partii Robotniczej, a później Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Właśnie ten okres jego życia spędza wielu osobom sen z powiek. Pracował w niesławnym Instytucie Kształcenia Kadr Naukowych przy KC PZPR. Później jednak srodze rozczarował się ideami socjalistycznymi i marksizmem.

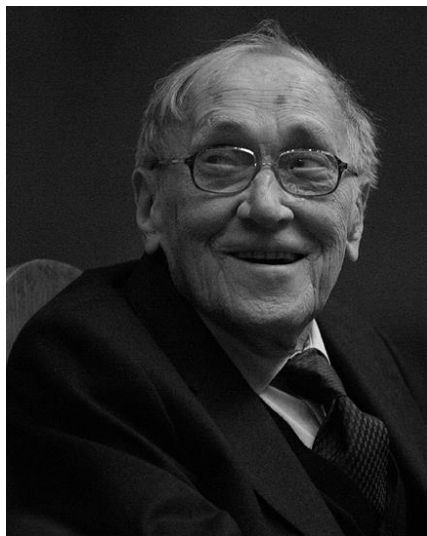


Foto: Paweł Supernak, PAP

Leszek Kołakowski wyemigrował z Polski do Anglii w 1970 roku. Wykładał na Uniwersytecie Oxfordzkim, a także w Berkeley i Yale w Stanach Zjednoczonych.

Właśnie na emigracji zajął się myślą chrześcijańską. Jego słynny esej „Tezy o nadziei i beznadziejności”, opublikowany w paryskiej Kulturze w 1971 roku, stworzył intelektualny fundament dla strategii opozycji antykomunistycznej.

Książki Kołakowskiego przez wiele lat ukazywały się w Polsce w nielegalnym obiegu. Szczególnie znany był esej „Kapłan i Błazen”, zawierający analizę postawy inteligencji wobec władzy. Pierwszym tekstem Kołakowskiego skonfiskowanym przez cenzurę, a zarazem pierwszym, który zaczął funkcjonować poza oficjalnym obiegiem, był napisany w 1956 roku manifest pt. „Czym jest socjalizm”.

Rozległość jego zainteresowań jest imponująca. Był członkiem Polskiej Akademii Nauk, Fundacji im. Stefana Batorego i Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Wydał m.in. książki: „Światopogląd i życie codzienne” (1957), „Jednostka i nieskończoność” (o Spinozie, 1958), „13 bajek z królestwa Lailonii” (1963), „Klucz niebieski albo opowieści budujące z historii świętej zebrane” (1964), „Rozmowy z diabłem” (1965), „Świadomość religijna i więź kościelna” (1965), „Kultura i fetysze” (1967), „Obecność mitu” (1972), „Główne nurty marksizmu” (1976-78), „Czy diabeł może być zbawiony i 27 innych kazań” (1982), „Jeśli Boga nie ma...” (1987), „Pochwała niekonsekwencji. Pisma rozproszone z lat 1955-1968” (1989), „Bóg nam nic nie jest dłużny” (1994), „Bergson” (1997), „Moje słuszne poglądy na wszystko” (2000), „Miniwykłady o maksymalności” (2003), „O co nas pytają wielcy filozofowie” (2004), „Wśród znajomych. O różnych ludziach mądrych, zacnych, interesujących...” (2004).

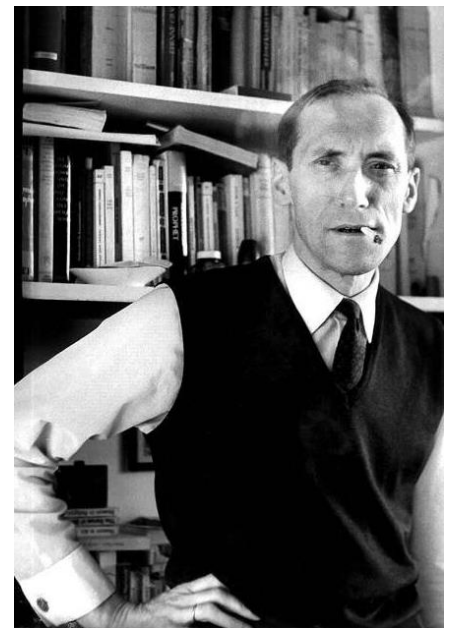


Foto: Danuta B. Łomaczewska

Leszek Kołakowski bez wątpienia był człowiekiem renesansowym. Trudno objąć umysłem rozległość jego zainteresowań. Ciągłe uśmiechnięty, tolerancyjny, bez nienawiści do drugiego człowieka był uosobieniem spokoju i potęgi ludzkiego umysłu, którego był jednym z najwybitniejszych przedstawicieli...

Bardzo często powtarzał, że „myśliciel musi być nie tylko sprawny intelektualnie, ale przede wszystkim musi mieć odwagę powiedzenia tego, co uważa za konieczne”.

Nie ma żadnej wątpliwości – po śmierci tego wielkiego intelektualisty powstała jakaś pustka. Profesor Leszek Kołakowski był dla nas świadectwem intelektualnej, ale i cywilnej odwagi. Czy i nas będzie stać na taką odwagę?...

Leszek Kołakowski w książce „Klucz niebieski albo opowieści biblijne zebrane ku pouczeniu i przestrodze” napisał: „Własną śmiercią można własne życie tylko potwierdzić, ale zaprzeczyć mu nie można, ponieważ nasza śmierć czyni dopiero nasze życie ostatecznie nieodmiennym. (...) Śmierć może nas dotknąć na pustyni, ale hańba tylko wśród ludzi”...

Jakie to mądre, prawdziwe... i smutne...

## Ławeczka Józefa Barana (21)

(Przemysłnik z przełomu wieków)

Fragmenty wybrane przez autora z tomu  
dzienników „Stan miłosny przerywany”; PIW 2021



Fot. Roman Mazurkiewicz

### 2014

Nie ma dziś jednej prawdy, jak to drzewiej bywało. Dziś prawda jest obrotowa. Wirująca prawda a punktów jej widzenia i definiowania dużo więcej niż kiedyś, gdy prawda miała stałe punkty odniesienia w nieruchomym krajobrazie (na przykład dla moich przodków w Borzęcinie). Moja mama, która nigdy nie widziała morza, to, co wiedziała, to wiedziała „naprawdę” i to była jej prawda niepodważalna (choć oczywiście też tylko do czasu, gdy świat wdarł się do Borzęcina i powyłamywał drzwi i okna domów). Prawda z czasem stawała się nawet dla zdeorientowanych mas – płynna, zmienna, zależna od punktu odniesienia, które też wciąż się zmieniają w związku ruchami migracyjnymi, z błyskawicznym przemieszczaniem się ludzi między innymi w poszukiwaniu pracy z kraju do kraju, z kontynentu na kontynent z jednej strefy kulturowej, klimatycznej w drugą – samolotami, autami, pociągami... A także na skutek błyskawicznych informacji, transmisji z całego świata i bombardowaniu pojedynczego umysłu różnymi, najczęściej przeciwstawnymi racjami, poglądami, opiniami. Dziś prawda musi być wygimnastykowana, mieć oczy dookoła głowy i zmieniać się jak kameleon, żeby nadążyć za tymi przerwymi punktami odniesienia. Nie ma jednej prawdy, można najwyżej uśrednić tzw. obiektywną prawdę spośród wielu indywidualnych, subiektywnych prawd.

Stąd konserwatyści klną i lamentują, że świat dziś stanął na głowie.

Nasze życie nie ma trwałych fundamentów, tak naprawdę nie ma ziemi pod nogami, nie ma pewników, rozwiązania, które gwarantowałyby, że jest niepodważalne. Skła-

damy się z samych niewiadomych, poza tym z tego, co jest oczywiste, co dotyczy doczesnych problemów dnia codziennego, odtąd-dotąd. Nasze życie jest właściwie tajemnicze i zawieszony w niewiadomych. Dlatego poezja operująca metaforą może dać lepszy wgląd w Tajemnicę niż proza. Wiersz d z i e j e się jakby w powietrzu, nie musi mieć trwałego zakotwiczenia w rzeczywistości, choć wynika z rzeczywistości, nie musi stać nogami na ziemi, na fundamentach, nie chodzi na piechotę, a raczej frunie, przeskakuje albo raczej przefruwa z odległego skojarzenia w odległe skojarzenie – jak iskra, jak małpka kapucynka, jak ptak. Wiersz może dziać się tu i wszędzie, i nigdzie równocześnie. Odsyła naszą wyobraźnię, naszą wrażliwość do czegoś, czego nie da się właściwie wyrazić słowami prozy, ale co jest ważne jak nastrój, klimat, uczucie, tęsknota. Oczywiście istnieje też poezja innego rodzaju, bliska prozie, bliska aforyzmowi, dążąca jednak do skrótu, definiująca, zamykająca definiowalną przestrzeń, a nie otwierająca na Tajemnicę (w poezji, na przykład polskiej, Bursa, Różewicz). Bo oczywiście nie ma jednej recepty na poezję.

### 4 lutego

Sypiam z przerwami, budzę się dwa, trzy razy w nocy. Dziś obudziłem się o piątej

Widzę, jak w dziesięciopiętrowcu naprzeciwko wyświetlają się na ekranikach okien cienie ludzkie zatrudnione w anonimowych sztuczkach i sztukach istnienia. Setki monitorowanych przez mnie ekraników. Potem dzień dnieje, światła na ekranikach są wygaszane między szóstą trzydzieści a siódmą rano. Biało za oknem. Jestem dziś sam, Zosia pojechała do Jasia i Niny w Mogilanach. Najważniejsze, że czuję się lepiej.

Taniec powszednich dni – udeptywanie w miejscu losu, tych samych widoków, rozmów, zdarzeń.

\*\*\*

taniec zwyczajnych  
i niezwykłych dni  
udeptywanie w miejscu  
swego losu  
coranne nowe  
rozdanie nadziei  
wniebogłosość  
wziemiogłosość  
nieodparty nałóg istnienia  
migotliwa ruletka zdarzeń:  
dla kogoś szczęście  
komuś same cierpienia  
(notatka do wiersza)

\*\*\*

Czekam na jutrzejszą kolonoskopię, żłopię jak krowa wodę pomieszaną ze środkiem przeczyszczającym „citra fleet”. Czytam Maraięgo Ziemia! Ziemia! i czekam na telefoniczną rozmowę. Ciekawy opis żyda węgierskiego, który ubrany w oficerski mundur komunistycznej armii, rozparty na kanapce w restauracji pierwszej kategorii każe sobie zgrać

patriotyczny szlagier, żeby poczuć się wreszcie Kimś, tu, gdzie go lekceważono.

Rozmyślałam o religii pieniądza. W feudalizmie nie była tak rozwinięta, bo klasa posiadająca (arystokracja, szlachta, rycerstwo) miała, co chciała z racji szlachetnego urodzenia. Nie musiała się obawiać, że utraci własność. Rozwijająca raczej bon ton, „wyższą obyczajowość” i ceremoniał odróżniający ją od prostactwa i klasy uciskanej. Dopiero w kapitalizmie, gdzie zdobywa się i traci pieniądze, majątki, w konkurencyjnym pojedynku rozwija się kult pieniądza i religia zysku (cały arsenał środków, który pozwala zdobywać i bogacić się). Religia pieniądza wypiera inne wartości.

W książce Maraięgo, który czasem irtuje mnie gloryfikowaniem wartości związanych z mieszczaństwem i elitą (równocześnie nie zauważa biedoty) i ma wyższościowy (nawet jeśli nie uwidocznił wyraźnie, to podskórny) stosunek do ludu – znalazłem ciekawy rozdział o nienawiści. Kto wie, czy nie czytała go Wisława Szymborska, pisząc wiersz o nienawiści, „która ma się znakomicie”. U Maraięgo nienawiść, okrucieństwo ludzkie mają się dobrze w każdym systemie i ustroju, zarówno w nazizmie, jak i w komunizmie. Ludzie, którzy jej folgują, zmieniają tylko mundury i tak samo łapią za bykowiec. Na Węgrzech, gdzie żyli w nazistowskiej sadyści, a później często te same lumpy-sadyści łapały za bykowiec, strzegąc nowego porządku komunistycznego – uwidaczniało się to szczególnie.

Ładne zdanie o tych, którzy „cierpią na chorobliwie gadulstwo”. Powołanie się na Gorkiego, który pisze, że niektórzy obnoszą swoje cierpienia niczym sztyld interesu (to do Żydów).

Niepokój – drożdżami wszelkiej twórczości.

Niezbyt miła wiadomość o konieczności operacji woreczka żółciowego (zaleca trzech lekarzy).

Żłudne nadzieje Maraięgo na temat Zachodu, rozwiane potem podczas pobytu na Zachodzie.

\*\*\*

Spadł potas, brałem kroplówkę chyba do północy, źle spałem przed zabiegiem. W trakcie zabiegu dyskusja o Mroźku z doktorem Mareckiem.

Wycieli mi polipa blisko odbytnicy, wycinek wysłano do badania.

Pewien chiński poeta powiedział mądrze: „Jeśli ktoś nie potrafi powiedzieć tego, co chce w dwunastu liniijkach – nie powinien być poetą”.

Jasno za oknem i jakby oświetlone przedwiosennym słońcem bloki nowohuckie.

Jeszcze wynotowuję zdanie z książki Maraięgo: „Człowiek to możliwość”. Może powinno być „Každy człowiek to inna, nowa możliwość Ludzkości”?

I... „W podróży ważna jest nie podróż, a to, co cię porusza w trakcie podróży”.

cdn.



## Poezja w drodze

Kto podróżuje po drogach swego życia i świata musi liczyć się z tym, że na jego ubraniu pozostaną ślady (odpryski) tego ruchu. Ruch ten może być marszem do przodu, stacjonarną obserwacją, powrotem, poruszaniem się w kilku czasach alternatywnych, a wszystkie pojawiające przeżycia piszącego nabierają charakteru impresyjnego. Z taką sytuacją mamy właśnie do czynienia w wymiarze artystycznym w omawianym tomiku autorstwa **Joanny Babiarcz**.

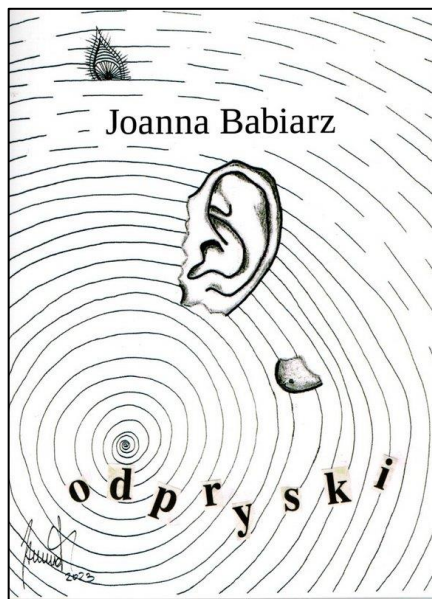
Życie bowiem w ocenie Autorki to nieustająca podróż rodzinna jej matki i dzieci, kiedy pojawiają się trudności w nabieraniu kierunku takiej wędrówki. Kiedy zbliża się wigilia działania te nabierają poczucie bliskości osób i zdarzeń – np. śmierci matki, co powoduje psychiczny wstrząs u Autorki. Pamięć podsuwa jej historie o zmianach zachodzących w życiu, przypominające jego kamienny ciężar. Przychodzi także refleksja o ważności życia szkolnego – upodabnia się do pisania „wierszy na piasku” i zamykania się w sobie. Wyraźnie pojawiają się w jej wyobraźni losy miłości do bliskich, wspomnienia rodziców, zaburzające głośność ciszy w mieście, uzasadniające logikę unikania bliskich i błędzenie po zakamarkach życia codziennego, by odnajdywać choć przez chwilę prawdę o samym życiu. Okazuje się, iż żółw jest dobrym symbolem samego życia, dającym umiejętność zbliżania się do śmierci, który odsyła także do doświadczenia upływu czasu w przyrodzie. Człowiek wpada w tzw. „metafizyczne widmo” nieuniknięcia śmierci oraz wikła się w wojny, które toczą się w świecie. Pojawia się nawet widmo wyborów kolejnych „scenariuszy życia”, zaś śmierć oczami dziecka zaczyna przypominać kołysankę. Ma ona charakter „teatru życia” i zapowiada schodzenie z jego sceny, czemu towarzyszy z kolei poczucie „metafory brzytwy” w miłości pogłębiającej logikę przemijania ciszy, a to wskrzesza myślenie o przyszłej nieobecności oraz widmo końca życia i zapomnienia, w którym będzie się przez pewien czas dogorywać, ale i leczyć własną psychikę. Wtedy pojawia się obraz ruin zamku jako metafora ludzkiego behawioru i ekonomii codzienności.

Poetka zastanawia się również nad tym: co słońce kiedyś o nas pomyśli i czy zapamięta pozostawionych w „oknie życia”. Nie ma wątpliwości, że samo życie ograbia nas z istnienia i zmusza do gry *vabank* o jego sens, gdzie ważna jest także modlitwa, smak czekolady, wspomnienia ważnych przyjaciół, o który J. Babiarcz tak pisze: (...) *Moje dawne przyjaźnie od czasu do czasu / wzbierają wspomnieniami. Kilka zdjęć / parę listów zielone wieczne pióro // gdzieś w odległych krajach mieszkają moje / przyjaciółki i chociaż uwiera nasza przyjaźń / jest pełna wiary ze kiedyś / spojrzymy sobie w oczy nie tylko przez tunel.*

Także nasza miłość straci znamiona kalendarza, a w ujęciu poezji nowoczesnej (*Allen Ginsberg, trakly yeats*) będzie ona dalej wariabilistyczna, mieszcząc się między przekleństwem i samą poezją, sankcjonując małżeństwo kobiety i mężczyzny, jak w świecie babcji poetki – Agnieszki, w którym powraca „przyjazna miłość” i serdeczność między ludźmi.

To interesujący tomik przepiętny ważnymi utworami, dobry na terapię w tych niestandardowych czasach.

prof. Ignacy S. Fiut



Joanna Babiarcz, „Odpryski”. Redakcja: Maria Żywicka-Luckner. Fotografia autorki i projekt okładki: Janusz Szot. Wydawca: Solut sp. z o.o., Nowy Sącz 2023, s. 64.

## Sonetny wołają

Pamięci  
Elżbiety Stankiewicz-Daleszyńskiej

Sonetny, pisane w latach 2011-2020 **Stanisław Chyczyński** zatytułował znacząco, żeby nie powiedzieć majestatycznie/szlachetnie: *Królewskie milczenia*. Tytuł tomu wziął z nieodległego mu Kamila Cypriana Norwida: *Gdy w głębi serca purpurę okrutną / Wyrabia prządka cierpienia, / Smutni – lecz smutni, że aż Bogu smutno – / Królewskie mają milczenia*.

Król, jeśli jest prawdziwy/pełen godności, bardzo rzadko się wypowiada, potrafi dostojnie słuchać, nie tak często mówi i na wszystkie tematy, jak dla przykładu obecni przywódcy. Zresztą z milczeniem wiąże się wiele przysłów, z których najbardziej znane to: milczenie jest złotem, co jednak należy szybko dopełnić: tylko wtedy, gdy mowa potrafi być/staje się platyną.

Chcąc analizować treść sonetów, a szczególnie ostatnio ulubionych przez Kalwaryjczyka antysonetów, trzeba sięgnąć do jego

esejów, publikowanych między innymi w „Arceanach”. Eseiście trudno zaakceptować postępującą globalizację, współczesną cywilizację (trzebiącą kulturę), pseudonaukowe dywagacje na temat płci człowieka – w których coraz mniej miejsca dla osoby ludzkiej zachowującej tożsamość, a nawet dla grupy ludzi, zespołów społecznych. Dlatego sięga po ratunek do przeszłości, czego widome potwierdzenie w sonecie znamienne zatytułowanym *W oazie przeszłości*:

*Siedzę na ławie pospołu z duchami –  
kniecia, szlachcianki, huzara, akowca.  
Dobrze mi tutaj, dobrze na manowcach. (To  
chyba prowokacja!).  
Tyle że putto niemo do mnie woła:  
Gdzie nie ma JUTRA, tam jest tylko WCZORAJ!*

A więc bliski jest czas, który minął; podążał ku wytchnieniu, spokojowi, niezmaconej refleksji, radości istnienia w zgodzie z pryncypialnymi wartościami humanistycznymi, a więc: z prawem rzymskim, ideami chrześcijańskimi, filozofią personalistyczną:

*Jak wywyżżyć pokorę, gdzie króluje pycha?  
Przechuki od Naprawy (błyskawiczne!)  
słysząc...  
Powiedz mi, Złota Panno, mądrzejsza od ludzi,  
(Jakie piękne zauważenie).  
Czy Syn Boży zastanie wiarę, kiedy wróci?*

Poeta nie godzi się na postępującą i „postępową” barbarię Europy.

Jakże bliski jest w swej postawie, niepokojach (wiersz *Gorzkie żale*):

*Zachód upadnie. Na własne życzenie.  
A my razem z nim uderzymy w ziemię.  
Huk będzie słaby. Bo kołos już pusty.  
Pół wieku jęczy zaszytymi ustami... (...)  
Przyszłość nas zdradzi. (...) A stado baranów  
znów będzie karne. Gorliwe. Gotowe. (...)  
głupia Europa sama chce islamu!*

przedwcześnie zmarłej tragicznie poetce Zuzannie Ginczance, która w wierszu *Agonia*, w 1934 roku napisała: *nic cię nie może zbawić, / nic cię nie może ustrzec: / zdychasz, stara Europo, / patosem brzękniesz jak trup, / (...) gniesz gangreną – policją, / ociekasz kodeksów ropą – / (...) Wyżarł twój łąd, wyżłopał / wolność, jak słodki nabiak, / przeżarł się, stara kanalia, / (...) zdychasz, stara Europo, / taki już gwiazdnych przeznaczeń / tajemnie zapadły wyrok („Grupa poetycka «Wołyń»” autorstwa Lecha Szajdaka, s. 323-324).*

Cóż począć, żyjemy w kraju, który nieustająco (często niepotrzebnie, bez zachowania ciągłości trwania, błędząc) musi stawać się (by dalej istnieć) – gdy innym państwom/nacjom (np. Czechom, Francuzom, Belgom)... starcza bytowanie – puenta wiersza *Piątek trzynastego*:

*Choroba jest w nas. Gramy w kości z czasem.  
Kostucha czeka, kibicuje diasek.  
Brawa. Chichoty. W nagrodę – wieniec z drwin.*

(Dokończenie na stronie 18)

# Sonety wołają

(Dokończenie ze stron 17)

Stąd rodzą się manifesty, żyjące krótko, nie zdążą prawdziwie zaistnieć, zdomowić się w systematycznym działaniu, nie mówiąc już o przyniesieniu oczekiwanego dobrostanu. Także brakuje nam szczęścia, nie wygrywamy ostatecznie wojen, jedynie bitwy. Nasze hasłowe zmagania: „Za wolność naszą i waszą” (bardziej waszą) – niewiele nam dobro przynoszą.

Poeto, pytasz, czy świat zwariował? Bez trudu znajdujemy odpowiedź: na pewno!

W wierszu *Bibliozofia*, oddającym hołd F. Kafce, Chyczyński broni książki papierowej:

*Dawniej byłeś otwartą księgą,  
wiatr przewracał kartkę po kartce.  
W sznurach wersów dobro i piękno  
ktoś wskazywał wysmukłym palcem (...)  
Nikt z ambony, braciom i siostram  
już nie głosi, że czytać warto.*

Internet, nazwany metaforycznie Grzebarką, najczęściej przynosi bezwartościowe produkcje:

*Gdzież tu zwycięstwo, jeśli byle cieniarz  
może w Grzebarce posiać swoje bzdety?  
Czy skakać w cyrku? Jak biegać o kulach?*

Nie można odmówić żołnierzom wyklętych/niezlomnym przekonania, że walczyli o wolność prawdziwą, choć cena ich walki „o Sprawę” była zbyt wysoka. Tutaj ich pamięci poświęcono cykl siedmiu wierszy, z których pierwszy jest przeróbką bardzo znanej dziecięcej rymowanki (zob. *Żołnierze wyklęci*).

W tomie Autor twórczo dialoguje (mówiąc prościej: rozmawia) z wieloma ważnymi/cenionymi poetami, a więc z Grochowiakiem, Rymkiewiczem, Herbertem, Miłoszem, Broniewskim, Asnykiem, a szczególnie z Norwidem (bo i tytuł książki przecież). Onegdaj mówiono: „Lenin wiecznie żywy” (zresztą zgodnie z ówczesnym zapotrzebowaniem), a teraz, już bez nacisków zewnętrznych, komunał ten znów staje się aktualny.

Stanisław Chyczyński sporo wie i swoją wiedzą zręcznie (nieraz przekornie) potrafi się dzielić. Jest to przecież znajomość filozofii, kultury, literatury, łaciny (dziś rzadka). Temu celowi służy posiadane bogactwo języka, w którym znajdujemy potoczne słowa, powiedzonka, zaśpiewki, ballady, przepowiednie, gwarę podhalańską, a także kolokwializmy oraz neologizmy.

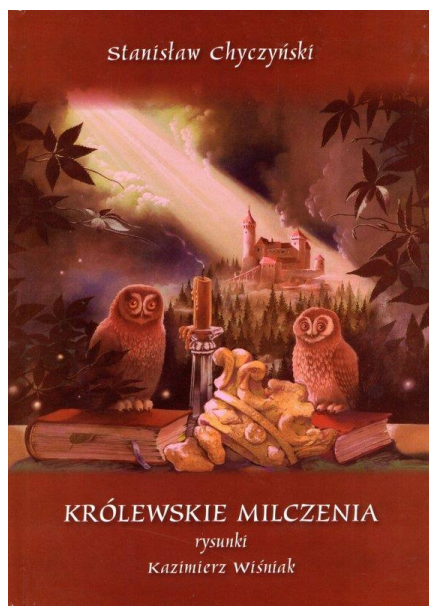
Sonety, ten trudny, szlachetny, wręcz arystokratyczny gatunek literacki, Autor tomu opanował doskonale. Osiągnął poziom wyjątkowej kreatywności, pisząc antysonety. Z rymami radzi sobie wyjątkowo dobrze, stosując różnorodne ich formy.

W książce znajdujemy wyraźne przesłanie patriotyczne (rzadkie w literaturze współczesnej), czytając nie tylko o żołnierzach wyklętych. Chyczyński rozmiłowany jest w polskiej historii, kulturze, literaturze, a także w

jego własnej ziemi wadowicko-kałwaryjskiej. Pisze poezję zachęcającą do refleksji, zadumy, głębszego namysłu nad własnym losem, przyrzecznością Polski – naszej Ojczyzny.

*Królewskie milczenia* potwierdzają znaczącą pozycję Autora w literaturze polskiej. Rysunki Kazimierza Wiśniaka wzbogacają konwenują z treścią pomieszczonej w tomie wierszy, choćby z racji wierności wspólnym wartościom, także tym estetycznym; w żadnym zaś zakresie nie można ich łączyć z ilustracjami dla dzieci w jakiegokolwiek epoce.

**Paweł Kuszczynski**



Stanisław Chyczyński, *Królewskie milczenia*. Sonety i antysonety. Rysunki: Kazimierz Wiśniak. Przygotowanie do druku i projekt okładki wg obrazu Kazimierza Wiśniaka: Ewa Kozioł. Wydawnictwo Vandre, Kraków 2023, s. 72.

## Sława, chwała... żał

*Tamten czas musi istnieć takim szlakiem  
Który ożyje na każde żądanie  
Świadczenia o tym, że jesteś Polakiem  
Że tu jest dom twój i rodziny trwanie*

Anna Błachucka

Historia domaga się faktów, oczekują ich czytelnicy... chcemy wiedzieć jak najczęściej, więcej od naszych rodziców żyjących przed nami, a niemogących przebić się do archiwów, muzealnych magazynów, odkryć archeologów, pamiętników, listów...

Chcemy wiedzieć, a często i wiemy więcej o odległych w czasie wydarzeniach, od samych uczestników, od żyjących wówczas, od zapracowanych, walczących, zmęczonych... do-

strzegamy szerzej, głębiej i bardziej ogólnie, indywidualne losy stają się zamglone, pochłaniane przez nurt główny, nieposkromionej rzeki czasu.

Na szczęście istnieje literatura... bo właśnie wiersz, poemat, opowiadanie, powieść, epos – jak te dzieła, pisane jeszcze niedawno „ku pokrzepieniu serc” zblizają na nowo, otwierają kolejne drzwi domów, mieszkań, dworów, siedzib, a inaczej serc i umysłów tych wszystkich, którzy odeszli, a nadal są dla nas ważni i usiłujemy nie tylko ich poznać ale i zrozumieć.

Dzieło *Anny Błachuckiej* „Rodem z Kozłowa” poświęcone szlacheckiej rodzinie Rzewuskich, herbu Krzywda, rozpoczyna data 18 lutego 1843, a zamyka 30 marca 1864 – bolesny dzień rozwiązania powstańczego oddziału i pochłonięcia wiernej klaczy Strzałki przez bagienną topiel... Po czym następuje „narracyjny skok” aż do czerwca 1958, spinający symbolicznym realistycznym obrazem całość tej niezwyklej pracy literackiej i historycznej. Mamy tu bowiem powieść nowoczesną, napisaną językiem współczesnym, chociaż w dialogach niekiedy stylizowanym, dopracowaną w szczegółach, momentach, drobiazgach, a łączy w sobie cechy klasycznej opowieści środowiskowej, biografii, pamiętnika, wyrwykowego dziennika, para – apologetyki, celowości powstania 1863, a także – może przede wszystkim eposu z dziejów ojczyzny, przeobrażających się obecnie w mit – ogniwo w łańcuchu klęsk narodowych, porażek o dalekosiężnych a przecież nieprzewidywanych w skutkach – przebudzenie świadomości patriotycznej: kim jesteśmy? I o co walczyliśmy? I walczyliśmy? Bowiem poruszane tu problemy to dotykane blizn i ran bolesnych i dzisiaj.

Książka *Anny Błachuckiej*, złożona z rozmów, opisów, obserwacji, relacji, momentami naturalistycznych, niesie bogate i jednoznaczne przesłanie... Fundamentem, opoką, podstawą losów narodu, a więc i ojczyzny jest rodzina, ród, związek indywidualności, bohaterów, dla których ważne są zarówno ich własne losy jak i sytuacje otaczającej ich zbiorowości, społeczeństwa, złożonego z warstw, grup, środowisk, klas często sobie obcych i niechętnych.

Polska rozbita, podzielona, zmasakrowana po listopadowym zrywie 1830, po Wiośnie Ludów, dławiona carskimi ukazami i polityką rosyjskich urzędników to sceneria powieści, której członkowie rodu Rzewuskich starają się żyć tradycyjnie, normalnie, co nie zawsze jest możliwe w anormalnych warunkach obcej dominacji...

Istnieje jednak Kozłów – siedziba rodziny, miejsce najbliższe, najdroższe, dziedziczone z pokolenia na pokolenie... I tu w mroźną śnieżną noc 18 lutego 1843 przybywa na świat Napoleon Zygmunt Rzewuski, syn Napoleona Modesta Rzewuskiego i Henryki z Suchodolskich... Nie ma wątpliwości, że powtarzające się imię Napoleon, wiązało się z osobą wielkiego cesarza Francuzów i nadziejami na niepodległość Polski. Dzisiaj możemy mówić o intuicji – dalekowzroczności tych, którzy je nadawali swoim dzieciom... I ja myślę, że szkoda, że dziś anno domini 2024 imię Napo-

leon nie już tak popularne. Dzieje – życie – nie-spokojne losy Napoleona Zygmunta Rzewuskiego od chwili narodzin wyznaczają kształt powieści, rytm narracji jest od nich zależny... Oczywiście – jak w malarstwie obowiązują sztafaż – rodzina, współuczestnicy studenci, przyjaciele, powstańcy, mieszczanie i chłopci, obcy – Rosjanie, walczący również po polskiej stronie, służba dworska, Żydzi... Zarysowują się przyjaźnie, rozterki, konflikty, momenty solidarności, poświęcenia i wyobcowania. Również zazdrości, podejrzliwości, zdrady. Chwilami wczytując się w barwne opisy i wyjątkowo precyzyjne relacje, czytelnik ma wrażenie, że autorka czynnie, osobiście w tych zdarzeniach uczestniczyła. W każdym bowiem momencie Anna Błachucka opiera się na faktach, ograniczając odautorską interpretację do koniecznego minimum. Wyraźnie obserwujemy to w dialogach, informujących o wydarzeniach ale również pełną napięć i emocji ekspresyjną akcję powieści, w której biografia głównego bohatera nie jest przeciw fikcją, a udokumentowaną drogą życia, ściśle powiązaną z historią nie – małej Ojczyzny. Obok Kielc i Kozłowa pojawiają się Ludwików, Henryków, Małogoszcz, Chęciny, Jędrzejów, Włoszczowa... niemal cała Ziemia Świętokrzyska. Są też liczne epizody warszawskie, i to z bliskich mi okolic, z Królewskiej i Grzybowskiej.

Po krótkim, w miarę spokojnym okresie edukacji i uroczego, pogodnego życia rodzinnego, czas gwałtownie przyspiesza... A Napoleon Zygmunt Rzewuski kończy dwadzieścia lat i jest w tzw. wieku poborowym, co dzisiaj również dla wielu rodzin staje się problemem, wobec wciąż zagrażającej wojny... W zaborze rosyjskim pobór wojskowy czyli tzw. branka – na pełnych dwadzieścia lat służby budził dosłownie popłoch... Powracających – a wielu nie powracało, ponieważ Cesarstwo prowadziło liczne wojny na wszystkich krańcach Imperium – ze świadomością utraty młodości i zmarnowanego życia, nie zawsze odnajdywali się w ojczyźnianej rzeczywistości.

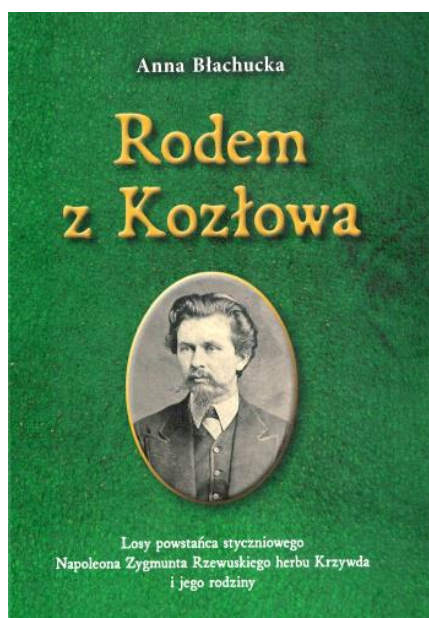
Anna Błachucka ukazuje szeroką panoramę dziejów bliskich jej i dziś regionu Kozłowa, Ludwikowa, Henrykowa, Ludwinowa, ujawniając różnice w świadomości narodowej, stosunkach do rosyjskiego zaborcy, w zamierzeniach społecznych. Polityka władz cesarskich uderzała bezpośrednio w szlachtę, sprzyjając antagonizmom. Zniesienie pańszczyzny to kolejne uderzenie w świat dworów i powozów... Powstańcy walczą nie tylko z rosyjskim wojskiem... zmagają się również z nienawiścią, zdradą, obojętnością, niechęcią, głównie chłopów... Dla racjonalnie myślących Polaków udział w Powstaniu nieuchronnie prowadził do tragedii... więzienie, zsyłki, rozstrzelania, skrytobójstwa, powtarzające się w naszych dziejach indywidualne dramaty, próby ratowania uwięzionych. Bohaterstwo, obłąd i rozpacz.

Wstrząsające są opisy walk, poboju, leśnych szpitali, opatrywanie rannych czy szycie koszul przez panie z koła miłośników teatru. I nagle te znamienne, jakże prawdziwe słowa: –wszy nie lubią jedwabiu. Napoleon –

ratujemy naszych synów – znamienne słowa skierowane do brata, ostrzegają.

W walce z wrogiem uczestniczą również kobiety, zacne niewiasty, żony, córki, matki... Anna Błachucka oddaje im należny hołd. Po szczegółowym opisie męki porodu z pierwszych kart powieści, uczestniczą w licznych opisach, epizodach i anegdotach, jak ten o pięknej Francuzce – żonie szewca, której zdjęcie umieszczone w witrynie zakładu fotograficznego.

Jak większość ważnych i pozostających w pamięci powieści, książka Anny Błachuckiej skomponowana jest w narracyjną konstelację, ułożoną z połączonych atrakcyjną fabułą, przenikających się epizodów, zdarzeń, informacji wypowiedzianych przez bohaterów... Miłość, uczucia, marzenia, tęsknoty i nadzieje, że jednak będzie inaczej i lepiej, wciąż są obecne. Pomimo pesymizmu, obojętności, a nawet wrogości trzeba się bronić, po pierwsze pozostać sobą... I nie zgadzać się z wyrokami losu ale nie zważając na zmartwienia i troski, ten los kształtować.



Autorka staje się autentycznym kronikarzem epoki, tworzy barwną opowieść o życiu niezwykłym, bolesnym i pięknym pokolenia naszych poprzedników, w tym zakątku, prze-ważnie skłóconej Europy. Powinniśmy pamiętać o nich, bo jesteśmy ich potomkami i odziedziczyliśmy po nich nasze charaktery – twarde, nieustępliwe, niepoddające się obcej woli. Chwytane w pośpiechu okrucy szczęścia, momenty fascynacji, zakochania, zbliżeń i pożegnań, spotkań, studenckich kawałów i drwin z zaborców, jak te z Marymontu ze szkoły, z kawiarni, z wydarzeń w teatrze – mozaika czy panorama stworzona z mistrzowskim wyczuciem i precyzją przez Annę Błachucką, fascynują i zatrzymują wrażliwego czytelnika... To wielka umiejętność odtworzyć nastroj, atmosferę, ducha czasu, opowiedzieć o tamtych dniach, godzinach, minutach, jakby uczestnicząc, widząc, pomagając... Jesteśmy w głębi świętokrzyskiej puszczy, na polanie, w partyzanckim biwaku, i w warszawskim

mieszkańiu, i w dworskich pokojach. Autorka czuje się tu jakby u siebie, jakby tworzyła film... Właśnie, filmowość precyzyjnie opisywanych miejsc i zdarzeń przyciągnie być może uwagę, któregoś z młodych polskich reżyserów. Powieść *Rodem z Kozłowa* to niemal gotowy scenariusz atrakcyjnego, historycznego i sensacyjnego filmu. Niosąca współczesne przesłanie, wspomniane już wyżej... Tro-ska o przyszłość naszych dzieci, chrońmy je przed wojną i zbrodniami wojennymi... „Napoleon! Ratujemy swoich synów”, to nie tylko dramatyczny głos – hasło z przeszłości, to wezwanie dla nas, usiłujących przeciwstawić się, protestować, apelować do sumień i umysłów. Smutny, gorzki obraz powstańczej klęski: aresztowania, zsyłki, emigracja, deklaracje, listy, wspomnienia i... Kozłów... mała ojczyzna, miejsce życia i losów autorki wielkiej opowieści, sagi rodu Rzewuskich – przetrwał. Odnajdujemy się w Polsce z roku 1958, a po opisanej epoce powstań pozostały ulotne wspomnienia i cegły – fundamentów pańskiego dworu.

„Do mnie mówią w urzędzie – proszę pani, ale jaka tam ze mnie pani” – mówi do wnuczki babcia.

Andrzej Zaniewski



## Bogdan Stangrodzki

### Widzimy się

widzimy się w kawiarni  
założę wreszcie moje ulubione szpilki

widzimy się w galerii handlowej  
obiecaneś mi sukienkę no wiesz tę czarną  
ze zwiewnym dołem

...w sobotę o dwudziestej w kinie pamiętaj  
od dawna chciałam obejrzeć ten film  
podobno można się pośmiać

widzimy się na pożegnanie  
kiedy rozchodzimy się w różne strony  
i strach wzbudza ciemność

nie mogę przestać myśleć o chwili  
gdy ujrzałem cię pierwszy raz  
nie byliśmy umówieni

nie otwierało ust widzimisię

## Droga na cmentarz

*Ja nic nie mówię, tylko słucham. Chodzę w tę i z powrotem, jak po żywym cmentarzystku i czuję się jak ni żywy ni umarły. Jak żywy, ale bez życia. Albo jak umarły, ale bez śmierci.*

Edward Stachura

Pociąg zwalnia. Zastanawiasz się czy już wstać i czekać oparty o ścianę przy drzwiach wagonu, czy jeszcze posiedzieć w przedziale ukradkiem obserwując zakonnicę wpatrzoną w okno za którym przelatują widoki pól, lasów, i rzadkich w tych okolicach przysiółków. Zakonnica przestaje obserwować mijany krajobraz, a wasz wzrok krzyżuje się na chwilę. Wymieniacie się grzecznościowymi uśmiechami, po czym opuszczasz wzrok, a ona wraca do swojego okna. Zakładasz, że być może nie obserwuje niczego, a jest raczej zatopiona we własnych myślach, medytacji, a być może modlitwie, myślisz tak, ponieważ jakiś czas temu zauważyłeś mimowolny ruch jej kształtnych ust. Przypomina ci swoją matkę z czasów, kiedy byłeś chłopcem w tym miasteczku do którego teraz wracasz sam nie wiedząc po co. Ile może mieć lat? 35? Jesteś pewien, że nie ma 40. Wzdychasz. Stukot kół na złączach szyn jest coraz wolniejszy. Wstajesz. Czujesz ból w zdrętwiałych nogach, w plecach. Za oknem wagonu coraz częściej pokazują się zabudowania, z trudem, ale jednak rozpoznajesz zabudowania ostatniej wsi przed miasteczkiem.

Panta rei...

- Na mnie już pora - meldujesz zupełnie bez potrzeby. - Do widzenia.

Zakonnica unosi wzrok.

- Na następnej stacji wysiadam - brniesz dalej. - Dziękuję za miłe towarzystwo.

- Z Panem Bogiem - uśmiecha się i przez chwilę nie odrywa wzroku od ciebie. - Niech panu Bóg błogosławi.

- Dziękuję - odpowiadasz chwytając za laskę, która ze względu na twój stan zdrowia towarzyszy ci od kilku lat. Następnie ściągasz z półki swoją podróżną torbę i opuszczasz przedział.

- Proszę pana - zatrzymuje cię.

- Tak - nie ukrywasz swojego zdziwienia.

- Proszę pamiętać, że tam dokąd pan wraca, być może już nikt pana nie pamięta. A dla tych, którzy tam są jest pan człowiekiem którego nie ma, którego nie było.

Kiwnięciem głowy dajesz znak że zgadzasz się z jej słowami, że być może wyraziła to, o czym ty bałeś się pomyśleć. Wychodzisz, zasuważając drzwi przedziału, krzyżując wzrok po raz ostatni. Masz bolesną świadomość że nigdy więcej nie zobaczysz tej kobiety. Objijając się o ścianę wagonu dochodzisz do drzwi, za oknem pojawiają się zabudowania miasteczka. Niektóre z nich rozpoznajesz, innych nie, są nowe jak ten spożywczy discount, którego nie było za twoich młodzieńczych lat. Pociąg

hamuje zbyt ostro, odnosisz wrażenie, że maszynista pewnie zapomniał że musi zatrzymać się na tej stacji. Ledwie utrzymujesz równowagę. Pociąg staje. Otwierasz drzwi. Przekładasz podróżną torbę do ręki z laską. Chwytasz mocno poręcz i schodzisz ostrożnie po dwóch stopniach na peron. Kiedy wreszcie stajesz pewnie na ziemi zauważasz że jesteś jedynym pasażerem jaki tu wysiadł. Konduktor daje znak maszyniście aby ruszał. Pociąg rusza. Delektujesz się widokiem dworca, dworca, który za twoich czasów tętnił życiem, a teraz jest zabity deskami w przenośni i dosłownie. Oddychasz głęboko, ten zapach nie zmienił się od lat, nadal czuć rześkość powietrza przesyconego jodem z tą specyficzną nutą impregnatu kolejowych podkładów, zapach lip, które rosną od wieków, lip, które nie zmieniają się tak szybko jak ludzie. Drzwi którymi kiedyś wychodziłeś z dworca na peron są zamknięte. Bar dworcowy jest nieczynny, wejście na poczekalnie zamurowane, nie ma nikogo z obsługi. Omijasz budynek z lewej strony. Cieszy cię widok pompy, która stała tu zawsze, ale już za twoich czasów była nieczynna, działała być może za czasów von Bismarcka założyciela tego miasteczka. Jesteś już na placu przed dworcem. Z tej strony wejście też jest nieczynne. Kiedyś na piętrze tego dworcowego budynku mieszkała jakaś kolejarzka rodzina, próbujesz przypomnieć sobie jej nazwisko, ale z twoją pamięcią jest coraz gorzej. Z dworcowego placu do „centrum” miasteczka prowadzi krótka alejka otoczona z dwóch stron wspomnianymi lipami. Wdychasz głęboko powietrze, neurony w twoim mózgu znają ten zapach. Wróciłeś. Oddychasz, idziesz krok za krokiem w kierunku pawilonu handlowego, w lewym ręku trzymasz niezbyt ciężką torbę podróżną w drugiej laskę, dzięki której walczysz ze szwankującym błędnikiem. Widzisz pierwszych ludzi, ale zdajesz sobie sprawę że spotkanie kogoś znajomego będzie graniczyło z cudem. Z jednej strony jest to twoje miasto, ale z drugiej jest to miasto całkiem obce. Na niegdyśniejszym przydworcowym przystanku PKS nie ma już wiaty. Zakładasz, że ten oddział PKS nie dał sobie rady z prywatną komunikacją. To co było dobre 40 lat temu dawno odeszło do lamusa jak sam Otto von Bismarck i jego fabryka papieru w niegdyśniejszym *Hammermühle, które po II wojnie światowej zamieniono na Kępice. Odeszło do lamusa jak ty...*

Dochodzisz do krzyżówki, *vis a vis* stoi pawilon handlowy, pamiętasz czasy jego budowy, przez jakiś czas był dla was placem zabaw. Na chwilę stajesz się dzieckiem biegającym po budowie wraz z Piotrkim i Irkiem. Jest jeszcze ten mały Andrzej z Buczka 3. Czujesz tą atmosferę dziecięcej bez troski. Biegacie po schodach to w górę to w dół. Zaglądasz do piwnicy. Zapada wieczór, robi się coraz ciemniej. Nie było tam żadnego stróża który pilnowałby placu budowy, przynajmniej do czasu gdy nie zakładano armatury sanitarnej czy instalacji elektrycznej. Budynek pawilonu ma jedno piętro, za twoich czasów na parterze po lewej

stronie był stoisko z artykułami szkolnymi i papierniczymi, po prawej AGD i RTV, na piętrze odpowiedni sklep odzieżowy i pasmanteria oraz obuwniczy. W twojej pamięci ożywiają twarze personelu, ci z odzieżowego mieszkali w twoim bloku. Wzruszenie chwytą cię za gardło. Wróciłeś do miejsca którego już nie ma, a jeżeli jest, to w jakiejś szczątkowej formie. Rozglądasz się dookoła. Nie ma wielu ludzi, ci, którzy przechodzą nie zwracają na ciebie uwagi. Łapiasz się na tym, że nie wiesz co ze sobą zrobić, nie wiesz w którą stronę pójść. Na lewo za twoich czasów zaczynała się ulica Lenina, na prawo Świerczewskiego. Po prawej stronie na samym początku stał okrągły, betonowy słup ogłoszeniowy i kiosk ruchu, nie ma ani słupa ani kiosku. Uświadomiasz sobie, że ta wyprawa była niezaplanowana do końca, taka ad hoc, być może powinieneś ją bardziej przemyśleć, odszukać, na ile to było jeszcze możliwe starych znajomych, albo chociaż tych, którzy zachowali cię w swojej pamięci. Bo tych, którzy znali twoich rodziców czy dziadków dawno już nie ma, a o ile pozostał po nich jakiś ślad to na cmentarzu. Cmentarz! Tak, to dobra myśl. Zaczynj swoją wędrówką po wspomnieniach od cmentarza, a wyc kierunek w lewo. Uśmiechasz się, tak to dobry pomysł. Co prawda lewa strona miasta była ci za tamtych czasów obca, mniej znana, i zawsze kojarzyła ci się z drogą na komunalny cmentarz.

Skręcasz w byłą ulicę Świerczewskiego. Pojawiający się z rzadka przechodnie traktują cię jak powietrze, tym w twoim przedziale wiekowym przypatrujesz się z baczniejszą uwagą. Niestety nie rozpoznajesz nikogo, wszystkie twarze są obce, nieznanne, przy tym dziwisz się, że cię ignorują. Trochę jesteś zaskoczony ich obojętnością, jakby na to nie patrzeć jesteś kimś obcym, kimś przyjezdnym, a każdy przyjezdny za twoich czasów wzbudzał niezdrową ciekawość. Myślisz sobie, gdyby Kępice było jakimś nadmorskim kurortem byłoby to zrozumiałe, ale do Ustki najbliższego miasta nad morzem było prawie 50 kilometrów. Kępice było miasteczkiem zagubionym w lesie, z dala od drogi wojewódzkiej, istniało niczym osobne księstwo, żyjące swoim życiem, gdyby nie połączenie kolejowe zapewne nikt o jego istnieniu by nie wiedział, dobrze, że w ogóle ktoś je naniósł na mapę.

Rozważając tak, powoli zbliżasz się do cmentarza...

**Miroslaw G. Majewski**



## Filozofia codziennosci prof. Marii Szyszkowskiej (214)



Fot. Andrzej Dębowski

Zrównanie praw kobiet i mężczyzn nie jest w stanie zniwelować różnic w odmiennym reagowaniu na świat.

W świecie przyrody wyróżniamy się mocnym poczuciem płciowości. W seksualności profesor Antoni Kępiński odkrył realizację tęsknoty, by wyjść poza granice własnego ja, by zespolić się z kimś. Traktowanie seksualności jako środka służącego do przedłużenia gatunku byłoby jej okaleczeniem.

Seksualność wzmaga potrzebę wolności i wznosi się ponad zakazy, którymi moralności i politycy starają się podporządkować jednostki. Nie poddaje się rygorom. Obyczaje utrwalone mocą tradycji wprowadzają zakazy w sferze seksualnej. Szczególnie zakazy dotyczą ludzi sędziwych, chorych psychicznie, niepełnosprawnych intelektualnie oraz niepełnosprawnych fizycznie. A wiadomo, że życie seksualne przynosi przeżycia szczęścia. Zakazy obyczajowe i rozmaite przepisy prawne, czy regulaminy dotyczące pobytu na przykład w domach dla osób niepełnosprawnych wprowadzają ograniczenia.

A trzeba pamiętać, że kwestie moralne są nierozstrzygalne. Mędrcy rozmaitych epok tego nie dokonali. Tym bardziej parlamentarzyści nie mają upoważnienia, by ustalać sposoby korzystania z seksualności.

Seksualność osób sędziwych wciąż stanowi tabu mimo, że mija wiele lat od ustaleń dokonanych przez Freuda. Dodam, że w tolerancyjnych społeczeństwach została wprowadzona instytucja asystentów seksualnych, którzy pomagają w życiu seksualnym osobom unieruchomionych, by poprzestać na tym przykładzie.

Obłuda obyczajowa pozostaje w dziwnej zgodzie z emitowaniem filmów pobudzających wyobraźnię w sferze seksualnej. Nam, Europejczykom, wydaje się, że utrwalone przez chrześcijaństwo sposoby myślenia i życia jest oczywisty i powinien być przez wszystkich respektowany.

Homoseksualizm nie jest ani perwersją, ani zbrodnią, ani chorobą. Niepokój wywołują lekarze, którzy w majestacie nauki proponują leczenie homoseksualizmu. Nie mam wątpliwości, że trzeba leczyć, ale tak myślących lekarzy. Homoseksualizm, to jedna z postaci

normalnego życia seksualnego. Wielu wybitnych twórców odznaczało się i odznacza tymi właściwościami. Oczywiście – podobnie jak wśród heteroseksualistów – są obok jednostek niepospolitych także ludzie tworzący margines społeczny.

Problem zawiera się w tym, że większość jednostek drażni ktoś żyjący w sposób odbiegający od powszechnie utartych schematów. Źródłem tego jest wpajanie nam od dzieciństwa błędnego nakazu przystosowywania się do otoczenia.

Uprzywilejowani u nas są heteroseksualści wbrew sloganom o wolności. Wszelkie moralne potępienia dla związków osób tej samej płci są jedynie wyrazem braku tolerancji, a raczej braku empatii. Moralności uniwersalnej nie ma. Dobro jest rozmaicie pojmowane w różnorodnych teoriach etycznych. A nie ma do wodu naukowego, który mógłby wykazać, że tylko jedna z możliwych teorii etycznych jest prawdziwa, a pozostałe teorie etyczne są błędne.

Związki homoseksualne bywają bardziej harmonijne niż heteroseksualne, chociażby z tego powodu, że wiele małżeństw zawiera się z powodu ciąży. Ponadto związki homoseksualne oparte są o większą bliskość psychiczną niż możliwa jest do osiągnięcia w związkach różnopłciowych. Biologiczno-psychiczne odmienności między płciami są faktem; płynie z nich odmienny sposób przeżywania i odmiennie cele życiowe. Osoby homoseksualne utrzymują swój związek nie ze względu na dzieci – lecz ze względu na siebie.

Miłość erotyczno-seksualna – inaczej niż miłość do ideałów, do ziemi ojczystej, dziadków czy matki – jest przemijająca. Treść przysięgi małżeńskiej jest często niespełniana. Poruszamy się w atmosferze obłudy obyczajowej. Nie należy w sferze erotyczno-seksualnej wprowadzać norm dyskryminujących osoby, które od nich odstają. Niechęć do homoseksualizmu wyrażają ci, którzy zamknęli się w ramach poprawności obyczajowej, a także na przykład ci, którzy chcą w ten sposób odwrócić podejrzania o homoseksualizm.

Artykuł 18. naszej Konstytucji stanowi, że małżeństwo jest związkiem kobiety i mężczyzny. Tym samym wykluczona jest możliwość zawierania małżeństw przez osoby tej samej płci. Małżeństwo jest pojmowane zgodnie z prawem kanonicznym jako różnopłciowe, nierozzerwalne i mające na celu posiadanie potomstwa. A więc sens małżeństwa nie sprowadza się do kultywowania miłości, lecz do prokreacji. Wszak małżeństwo zawarte pod warunkiem nie posiadania dzieci jest nieważne w świetle prawa kanonicznego. Prawo pozytywne pozwala wprawdzie na rozwody, ale obwarowuje je ograniczeniami. Spotęgowały się one w naszym prawodawstwie po 1989 roku.

Tradycyjna koncepcja małżeństwa zwrócona jest wyłącznie ku osobom heteroseksualnym oraz zakłada w sposób nieuprawniony, że każdy człowiek chce mieć potomstwo. A więc ta tradycyjna koncepcja umniejsza znaczenie miłości, traktując ją jako środek do celu, jakim jest potomstwo. Dyskusyjne jest także czy człowiek ze swojej natury jest monogamiczny. Mylimy zbyt często stan faktyczny ze stanem

uznawanym za powiny. Przysięga kościelna dziwi gdy ślub zawierają w kościele osoby, które z racji wieku nie mogą mieć już potomstwa.

W większości państw w kulturze euroamerykańskiej prawo pozwala na rejestrowanie związków osób tej samej płci. Absurdalne są poglądy w myśl których stanowi to zagrożenie dla trwania ludzkości, jak również dla instytucji małżeństwa. Poważnie traktowana demokracja ma powodować, ażeby państwo było ojczyzną zarówno dla hetero-seksualistów, jak i dla homoseksualistów. Narzucanie obyczajowego wzorca heteroseksualnego jest dyskryminacją jednej z najliczniejszej mniejszości w państwie. A większość sprawująca władzę w państwie demokratycznym powinna spełniać oczekiwania grup mniejszościowych.

Powszechność poglądów i obyczajów nie jest rękomią ich prawdziwości, czy słuszności. Powoływanie się na naturę człowieka jest zawodne. W świecie zwierzęcym także są przejawy wyraźne homoseksualizmu. Wracając do natury człowieka, zapewne w każdym z nas – w myśl jednej z teorii – drzemą równosilne ambicje: skłonność do odmiennej płci oraz do osób tej samej płci. Zapewne pierwszy kontakt seksualny o ile wzbudził przeżycia szczęścia przesądza o tym czy jesteśmy homoseksualistami, czy heteroseksualistami. Nie ma obiektywnej podstawy, która pozwalałaby oceniać pewne zachowania człowieka jako zdrowe, właściwe – a inne jako nienaturalne, czy niemoralne. Jedyne koncepcje religijne uzurpują sobie – powołując się na Boga – uprawnienie do ocen zachowań ludzkich jako zgodnych z naszą naturą, bądź sprzecznych z nią. Ale w XXI wieku rozdziela się wiedzę naukową i wiarę religijną.

Dyskryminacja homoseksualistów w Polsce narasta. A niezbędna jest życzliwość dla obyczajów i poglądów innych niż nasze. Dodam, że krytyka homoseksualizmu jako rzekomego wynaturzenia wiąże się z uzurpowaniem sobie uprawnienia do narzucania modelu szczęścia w miłości. W imię jakich wartości miałyby się odbierać homoseksualistom prawo do miłości, narzucać tej dużej liczbie mniejszości zaspokajanie potrzeby szczęścia w podziemiach?

Niepokojąca jest obłuda obyczajowa w Polsce. Zniewala mocniej niż przepisy prawne. Nie bierze się pod uwagę tego, że powszechność określonych obyczajów i teorii etycznej, ściślejszy poglądów moralnych, ani też długotrwałość, nie powinna być argumentem na rzecz ich respektowania. Utrwalony przez tradycję sposób życia powinien podlegać wątpliwościom o ile jest odczuwany przez jednostkę jako ograniczający wolność. Wiele negatywnych skutków wywołuje prowadzenie oficjalnego życia dostosowanego do obiegowych poglądów oraz jednocześnie autentycznego sposobu życia, ale utajonego, bo nieakceptowanego przez dominującą większość.

cdn.

Maria Szyszkowska

# Moja walka z rakiem

(59)

5 marca 2020

Zostaliśmy postraszeni Covidem 19. Nie wolno jeździć do lasu, nie wolno wchodzić do parku, także zabronione jest wejście nad Błonia nad Sanem. Cóż nam pozostało, gdy jest taka piękna słoneczna pogoda? Wybrać się do marketów. I tak właśnie zrobiliśmy. Po drodze kupiłem trochę benzyny i sprawdziłem ciśnienie w kołach mojego malucha. Tym bardziej że ludzi w marketach było niewiele. Dawniej w niedzielę przedświąteczną trudno było się przedrzeć przez tłum klientów. A dziś raptem kilkanaście osób wahało się po stoiskach. Po handlowym spacerku zaliczyłem w TVP 2 filmy przyrodnicze: jeden o ratowaniu łuskowców przed wyginięciem, drugi – poświęcony wodom przybrzeżnym Japonii i żyjącej w niej przyrodzie. Po obiedzie i przed wieczorem odbyłem też samotny spacer ulicami miasta.

Mamy już w kraju 3834 zarażonych koronawirusem, 84 – zmarłych z powodu epidemii i 134 wyleczonych. Na świecie do chwili obecnej zarażono się koronawirusem 1,2 mln osób, a zmarło 65 tys., a 253 tys. jest wyleczonych.

6 marca 2020

Pogoda dzisiaj też piękna, słoneczna. Aż się chce żyć. Jadę do Rzeszowa, by spotkać się z moim onkologiem i dowiedzieć się, jak wypadła tomografia. Wczoraj jeszcze sprawdzałem, czy autobus o 11.00 do Rzeszowa jest na rozkładzie? Jest. Ale tylko na rozkładzie. Gdy nie przyjeżdża, dzwonię natychmiast do firmy „Marcel”. Okazuje się, że też jest odwołany. Następnym mam o 12.15. Ale czy zdążę dojechać do szpitala?

W Centrum Onkologii w Rzeszowie jestem co prawda przed 14.00, by się dowiedzieć, jakie są wyniki niedawno wykonanej tomografii. Myślałem, że spotkam tam w przychodni dr Góreckiego, bo tak się z nim umówiłem, ale jego nie ma, jak się okazało: nie jestem też zarejestrowany. W przychodni już pustki, jedynie w gabinecie siedzi dr Śmietana i z łąski mnie przyjęła, litując się nade mną, gdy powiedziałem, że ze względu na kłopoty z komunikacją ledwo tu dotarłem. Dała mi kartkę do rejestracji, by wydano moje wyniki z tomografii. Wiedziałem co prawda, że czuję się dobrze, ale bez potwierdzenia tego przez lekarza moje samopoczucie jest nic niewarte. No bo jak? W trakcie wizyty doktor dała mi opis i skierowanie do urologa. Z opisu i z informacji od pani doktor dowiedziałem się, że po nowotworze już nie ma nawet śladu, tylko zgrubienie ścianki pęcherza po operacji. Onkologicznie jestem zatem wyleczony. A dalsze leczenie jest teraz w rękach urologów, chyba chodzi m.in. o wlewki, które obiecał wcześniej dr Godlewski. Powrót do Stalowej Woli jest rów-

niez utrudniony, bo większość busów została odwołana. Na dworcu jestem za piętnaście trzecia, mam nadzieję, że zdążę na autobus o 15.00, bo na tablicy informacyjnej jest jak byk, że będzie. Niestety, i on jest odwołany. Następnym mam o 16.15. Dzwonię do „Marcela”. Dyżurny dyspozytor potwierdza, że będzie. Ten się wreszcie zjawia, nawet pięć minut przed odjazdem. Po drodze z Rzeszowa oglądam w gniazdach pierwsze bociany, które przyleciały do nas z ciepłych krajów. Jest pięknie, a ja już wiem, że na razie chorobę nowotworową mam za sobą. Dzięki Bogu, ją pokonałem. Na razie!

7 marca 2020

Opracowałem wszystkie uwagi do korekty naszego almanachu „Wiersze znad Sanu” i wysłałem do p. Janka Kunysza, który odpowiada za skład. Może jeszcze przed świętami otrzymam poprawiony i wyślę go do naszych uczestników Klubu Literackiego do ostatecznej korekty. Już dziś widzę, z kim będę mógł współpracować w przyszłości. Niestety, nie wszyscy się jednak sprawdzili. Ale to było trudne zadanie i z pewnością opłacało się je podjąć, by poznać lepiej ludzi i wiedzieć, na kim się można opierać i z kim w przyszłości współpracować. Niestety, nie wszyscy tę próbę przeszli pozytywnie. Nie jesteśmy stowarzyszeniem i nie wszyscy muszą należeć do naszego klubu. Przynależność do klubu powinna być w jakimś sensie wyróżnieniem, nobilitacją poetycką. Pan Janek odesłał mi skład po 2 godzinach z naniesionymi poprawkami. Ponownie wysłałem go uczestniczkom almanachu, aby go jeszcze raz przejeździ. Mają czas do jutra (środa) do 12.00, aby jeszcze raz wszystko sprawdzić. Myślę, że to wystarczy. Niektórzy, nasi debiutanci, nauczą się pracy nad tekstem, zobaczą, jaka to żmudna praca.

8 marca 2020

Mamy już 5000 zarażonych koronawirusem, 136 zgonów i 191 wyleczonych. Na świecie jest 1,5 mln zakażonych i ponad 300 tys. wyleczonych i ponad 35 tys. zgonów z powodu pandemii.

Almanach mam już za sobą. Kosztowało mnie to kilka tygodni pracy i wiele indywidualnej korespondencji na pytania i zastrzeżenia uczestników. A także korespondencja z urzędami, drukarnią itp. Odczuwam z tego powodu cholerną ulgę. Wiele się też nauczyłem. Wiem, jak to należy robić. Jak wydawać takie książki. Jak rozmawiać z ludźmi. Na szczęście już w tym roku takiego zadania się nie podejmę. Muszę odpocząć. Jak będzie w roku przyszłym z wydaniem Rocznika Literackiego, który ma zapoczątkować systematyczne jego wydawanie, nie wiem. Trzeba będzie jednak co najmniej od września już gromadzić materiały: poezję, prozę, krytykę literacką i śledzić nowości literackie wydawane w Stalowej Woli. Niestety, nie każdy trafi jednak do mego rocznika. Rocznik musi być jednak jakąś nobilitacją dla autora. Na przykład za jego aktywność na polu literackim. Poziom prezentowanych utworów itp. I wtedy będzie

miało to wartość, coś znaczyło. Mam nadzieję, że przynajmniej obecny prezydent będzie wspierał naszą działalność i twórczość. Na to przede wszystkim liczę. Bo na wsparcie biznesmenów stalowowolskich nie. Miałem kiedyś kontakt z panami K. i P., a także innymi A. and S. I dziękuję za łaskę. Nie jestem żebrakiem, ale literatem. Ci zamożni pyszałkowie nie rozumieją jednego, że sława przypada nie tylko autorom, ale także sponsorom. Ale do takiej świadomości wiele im brakuje. To są na razie tylko dorobkiewiczze i nowobogaccy. Kasa jest najważniejsza! A jak już pomagają, to tylko tym i tam, gdzie mogą się pokazać, koniecznie we fraku, i być pokazywani, np. na balu sportowców. Pamiętam też ich bale na Zamku w Sandomierzu. Jakże to było wszystko śmieszne!

9 marca 2020

Mamy już 5575 zakażonych koronawirusem, 174 osoby zmarłe i 284 wyleczone. Pandemia nie chce na razie odpuścić.

Dzień mi przeleciał na załatwianiu różnych domowych spraw i wysyłaniu życzeń drogą elektroniczną. Na to, co robą władze, nawet nie zwracam uwagi. Odbyłem też spacer po ulicach miasta, Okulickiego, Popiełuszki, do sądu i skręcając do kościoła św. Floriana. Taka runda trwa ok. 30 minut. Wystarczą mi 2-3 rundy dziennie. Pogoda od kilku dni piękna, słoneczna, a temperatura w południe sięga na termometrze blisko 20 stopni. Ponieważ nabożeństwa wielkopostne odbywają się przy niewielkim udziale wiernych, postanowiłem nie łamać przepisów i obejrzeć wielkoczwartkową mszę w telewizji nadawaną z Jasnej Góry za pośrednictwem Telewizji „Trwam”. Pewnie, że przeżycia są inne, gdy uczestniczy się w kościele. Podobnie jest z Teatrem Telewizji, to nie to samo, co obejrzeć sztukę w prawdziwym teatrze.

10 marca 2020

Godzina 20.00 – zarażonych 5995 osób, zgonów – 181, wyleczonych – 318. A pogoda piękna, jak na zawołanie. Tylko deszczu brak. Za to płoną łąki i błonia podpalane przez nieodpowiedzialnych rolników, którzy przyzwyczaili się do tego przez lata i nie chcą od tej złej tradycji odstąpić. W lasach zaś jest 3 stopień zagrożenia pożarowego.

Uroczystości wielkopiątkowe oglądaliśmy z Halinką w telewizji TVP Rzeszów za pośrednictwem Telewizji Trwam. Coraz bardziej przyzwyczajam się do takiego oglądania nabożeństw kościelnych. Nie wiadomo czy na starość się to przyda. Bo w szpitalu chodziłem jednak do kaplicy. Na razie mogę chodzić do kościoła, ale kto wie, co będzie, gdy pożyje jeszcze parę lat. Dobrze widzę po sobie, na czym polega starość. Już jej objawy dobrze czuję w kościach.

cdn.

Miroslaw Osowski

## POEZJA

**Stanisław Dłuski**, *Wiersze dla ludu polskiego*. Fotografia autora Piotr Parawa. Grafika na okładce: Cyprian Norwid, *Zoil*. Projekt graficzny i typograficzny: Bernard Nowak. Wydawnictwo Test, Lublin 2023, s. 120.

**Genowefa Jakubowska-Fijałkowska**, *Wiwi-sekcja*. Projekt okładki i stron tytułowych: Agnieszka Sitko. *Biblioteka Arkadii, Pisma Katastroficznego*, tom 214. Instytut Mikołowski, Mikołów 2023, s. 56.

**Antanas A. Jonynas**, *Inna się nocą zdaje delta dłoni*. Wybór i przekład: Adam Pomorski i Rasa Rimickaite. Projekt okładki i ilustracji: Jakub Kamiński. Kolegium Europy Wschodniej im. Jana Nowaka Jeziorańskiego we Wrocławiu, Wrocław-Wojnowice 2023, s. 104.

**Sławomir Andrzej Keller**, *Konglomerat*. Okładka: Dorota Olszewska. Wydawnictwo Papiilonis, Łódź 2022, s. 80.

**Andrzej Kopacki**, *Życie codzienne podczas wojny opodal*. Zdjęcie autora: Anna Rezulak. Na okładce fragment rzeźby Balthasara Permosera, *Mohr mit der Smaragdstufe*, ok. 1724. Projekt graficzny serii, projekt okładki: Paweł Nowakowski. Seria *Forma 21*. Wydawnictwo FORMA, Fundacja Literatury im. Henryka Berezny, Szczecin, *Bezrzecze* 2023, s. 84.

**Wiesław Karliński, Krzysztof Kokot**, *Opada mgła / The Fog is Falling / Der Nebel fällt*. Redakcja: Wiesław Karliński, Krzysztof Kokot. Projekt okładki: Tomasz Magowski. Zdjęcie na okładce: Bolesław Bezeg. Ryciny: Piotr Piwko. Wydawnictwo Kontekst, Poznań 2024, s. 60.

*Krakowska Noc Poetów. Almanach 52*. Redakcja, projekt okładki: Danuta Sułkowska. Fotografie wewnątrz książki i na okładce: Andrzej Walter. Korekta: Danuta Perier-Berska. Wydawca: Krakowski Oddział Związku Literatów Polskich, Kraków 2024, s. 136.

**Jacek Napiórkowski**, *Udając jednorożca*. Opracowanie graficzne: Robert Kleemann. Wydawnictwo Literackie, Kraków 2023, s. 64.

**Grażyna Obrąpalska**, *Zanim pogubią się litery*. Zdjęcie autorki: Jacek Obrąpalski. Zdjęcie na okładce: Małgorzata Południak. Projekt graficzny serii, projekt okładki: Paweł Nowakowski. Seria *Struktury*. Wydawnictwo FORMA, Fundacja Literatury im. Henryka Berezny, Szczecin, *Bezrzecze* 2023, s. 52.

**Rafał Rżany**, *Koniec lata*. Fotografia: Rafał Rżany. Opracowanie graficzne: Jakub Rżany. Wydawnictwo Pod Światło, Rzeszów, Kraków 2023, s. 62.

**Irena Tetlak**, *geometria porozumienia*. Redakcja: Mirosława Szychowiak. Projekt graficzny i projekt okładki: Anna Skowrońska. Wydawnictwo VERIDIAN, Warszawa 2024, s. 44.

**Andrzej Zaniewski**, *Błogosławione rozstajne drogi jak długo są przed nami*. Obraz na okładce: Pisarz ze Spanielem Tybetańskim – Amanda Żejmis. Rodzinna fotografia na IV stronie okładki – Ewa Zaniewska. Wydawnictwo Komograf, Warszawa 2022, s. 308.

## PROZA

**Zsuzsa Bank**, *Śmierć przychodzi nawet latem*. Przełożyła: Elżbieta Kalinowska. Projekt okładki: Agnieszka Pasierska. Projekt typograficzny: Robert Oleś. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2023, s. 230.

**Maciej Bieszczad**, *Ultradźwięki*. Zdjęcie autora: Valeria Marik. Kolaż na okładce: Cezary Dubiel, *Skok*, 2022. Projekt typograficzny serii, projekt okładki: Paweł Nowakowski. Seria *Kwadrat*. Wydawnictwo FORMA, Fundacja Literatury im. Henryka Berezny, Szczecin, *Bezrzecze* 2023, s. 54.

**Yaa Gyasi**, *Poza królestwo*. Przełożyła: Hanna Pastula-Lewicka. Projekt okładki: Urszula Gireń. Projekt typograficzny: Robert Oleś. Fotografia na okładce: Dariusz Czaja. Seria *Powieści*. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2023, s. 344.

**Jolanta Jonaszko**, *Nietutejsi*. Zdjęcie autorki: Annette Stier. Grafika na okładce: Alicja Jasina. Projekt typograficzny serii, projekt okładki: Paweł Nowakowski. Seria *15 piętnastka*. Wydawnictwo FORMA, Fundacja Literatury im. Henryka Berezny, Dom Kultury „13 Muz”, Szczecin, *Bezrzecze* 2023, s. 182.

**Ignacy Kotkowski**, *Noc jest moim pasterzem*. Projekt okładki: Agata Pietraszko. Ilustracje w książce i na okładce: Ignacy Kotkowski. Wydawnictwo Eperons-Ostrogi, Kraków 2023, s. 96.

**Peter van Os**, *Już nie chcę być człowiekiem. Opowieść o przetrwaniu Zagłady*. Przełożyła: Maria Mączka. Redaktorka inicjująca: Paulina Surniak. Redaktor prowadzący: Bogumił Twardowski. Marketing i promocja: Agata Gać. Redakcja: Agnieszka Czapczyk. Korekta: Witold Kowalczyk, Justyna Techmańska. Projekt typograficzny: Grzegorz Kalisiak. Projekt okładki i stron tytułowych: Ula Pągowska. Zdjęcie na okładce: osmlang Bettmann / Getty Images. Mapa: Mariusz mamet. Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., Poznań 2024, s. 478.

## NAUKA, SZTUKA KULTURA

**Andrzej Chwalba**, *Wisła. Biografia rzeki*. Indeks nazwisk i nazw geograficznych: Michał Stachowski. Projekt okładki: Urszula Gireń. Wybór ilustracji i projekt map: Miron

Kokosiński. Wydawnictwo Literackie, Kraków 2023, s. 408.

**Marcin Cielecki**, *Dziedziniec pogan*. Projekt okładki i stron tytułowych: Mimi Wasilewska. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2023, s. 362.

**Chantal Delsol**, *Koniec świata chrześcijańskiego*. Przełożył: Piotr Napiwodzki. Projekt okładki: Adam Gutowski. Opracowanie graficzne: Lucyna Sterczewska. Wydawnictwo WAM, Kraków 2023, s. 208.

**Papież Franciszek**, *Rozeznanie. Boży głos w sercu*. Projekt okładki: Dominik Wicher. Wydawnictwo WAM, Kraków 2013, s. 224.

**Ryszard Jamka**, *Panów piłą. Trzy legendy o Jakubie Szeli*. Projekt okładki i stron tytułowych: Anna Pol. Opracowanie graficzne i typograficzne: Anna Hegman. Opracowanie mapy na wyklejce: Karolina Korbut. Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2023, s. 472.

**Kamil Janicki**, *Warcholstwo. Prawdziwa historia polskiej szlachty*. Projekt okładki i stron tytułowych: Ula Pągowska. Zdjęcie na okładce: Quagga Media / Alamy Stock Photo. Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2023, s. 384.

**Zbigniew Kubikowski**, *Szklany mur. Proza polska 1945-1980. Opis procesu*. Wstęp i redakcja: Dorota Heck. Projekt okładki: Marta Jaszczuk. Zdjęcie autora na IV stronie okładki: Jan Bortkiewicz. Wydawnictwo Księgarnia Akademicka, Kraków, Wrocław 2023, s. 182.

**Renata Lis**, *Moja ukochana i ja*. Projekt okładki i stron tytułowych: Tomasz Majewski. Wydawnictwo Literackie, Kraków 2023, s. 320.

**Krzysztof Mroziewicz**, *Uma Devi na kongresie dusz. Indie. Sztuka wiary*. Redakcja: Danuta Szulczyńska-Miłosz. Projekt okładki: Piotr Grzywa. Korekta: Humbert Muh. Wydawnictwo Vis-à-vis Etiuda spółka z o.o., Kraków 2024, s. 208.

**Jakub Orzeszek**, *Drugie ciało pisarza*. Ilustracja na okładce: *Szkic do sceny sadomasochistycznej* (fragment), ok. 1937, w zbiorach Muzeum Literatury w Warszawie. Projekt graficzny i typograficzny: Janusz Górski. Fundacja Terytoria Książki, Gdańsk 2023, s. 292.

*Sąsiad sąsiadowi*. Redakcja oraz fotografie sąsiada: Monika Siemion-Dudek. Projekt okładki i strony tytułowej: Krzysztof Rumowski. Układ całości wybór wierszy i komentarze: Wojciech Siemion. Fotografie obrazów: Barbara Kasper-Siemion. Wydawca: Muzeum Jadwigi i Wojciecha Siemionów w Petrykozach, Petrykozy 2010, strony nieliczone.



\*\*\*

W „Tygodniku Powszechnym” (numer 29/2024) **Dariusz Kosiński** tak pisze o zmarłym Jerzym Stuhrze:

*Jerzy Stuhr grywał role podniosłe, ale upodobał sobie „wyższą komikę”. Bez patosu odkrywał i odstaniał powagę i głębię spraw, którymi trzeba się zajmować w zwykłym życiu. Dlatego jego twarz to wszystkie nasze twarze.*

Śmierć aktora? Cóż po nim zostaje? Wspomnienia silnych niegdyś wrażeń tych, którzy mieli szczęście doświadczyć jego sztuki? Recenzje? Nagrania i filmy, które mogą nawet całkiem skutecznie wywołać iluzję, że wciąż mamy do czynienia z żywym oddziaływaniem artysty.

Alc czy na pewno jesteśmy w stanie zrozumieć, czego doświadczały widzowie, dla których te obrazy były tworzone, z których świata wynikały?

To też wiadomo od dawna: sztuka aktorska – szczególnie teatralna – jak żadna inna należy do swojej teraźniejszości, więc jej wielkość jest szczególnie trudna do zachowania. Zmieniające się kody społeczne, sposoby używania ciała i języka, wyobrażenia zbiorowe, dotyczące zwłaszcza tego, co prawdziwe i naturalne, a co nie, sprawiają, że rola, która wczoraj wydawała się „życiem samym”, staje się manierą i razi sztucznością, a efekt wzbudzający entuzjazm dziadków – przez wnuków przyjmowany jest drwiącym śmiechem.

Co zostanie po zmarłym w środku upalnego lata Jerzym Stuhrze?

### Ośła cień

W jednym z wywiadów przypominanych w pośmiertnych felietonach rozbawiony aktor opowiadał, że jego „koleżca rektorzy”, z którymi spotykał się, kierując ówczesną PWST w Krakowie, mieli poważny problem, by wyrazić swój podziw dla jednej z jego najbardziej znanych i prawdziwie mistrzowskich kreacji – Ośła w „Shreku”. Stuhr śmiał się, że nie mogła poważnym profesorem przejść przez gardło nazwa wiązana z głupotą i niskimi instynktami, więc gratulowali mu „tego zwierzątka”.

Anegdota znamienita i znamienne zakłopotanie. Bo przecież na pytanie, co pozostanie po Jerzym Stuhrze, odpowiedź niemal natychmiastowa i dla wielu oczywista jest właśnie taka: Osiół w „Shreku”. Albo „Śpiewać każdy może” w Opolu z 1977 roku. Albo „Żeby z gołą babą nie można”, „Kobieta mnie bije” i „Ciemność widzieć” z „Seksmisji”. Albo „Widziałam orła cień” z „Kilera”. Albo – niech mi jeszcze będzie wolno dodać nasz rodzinny kultowy tekst z „Mulan” – „Smoka nie jaszczurkę!”.

Mówić, że coś takiego zostało po wielkim aktorze – dziwnie i niezręcznie, bo odszedł

artysta, a nam tu jakieś śmichy-chichy w głowach. Ale tak! Tak przecież jest – to Jerzy Stuhr sprawił, że polski Osiół ze „Shreka” jest arcydziełem wywołującym natychmiast uśmiech. Że kwestie Maksa czy komisarza Ryby już nigdy nie będą brzmieć inaczej i zawsze będą słyszane tak, jak on je powiedział. Raz na zawsze – nieodwołalnie. Tak jak ta piosenka opolska: wielu próbowało, ale nikt nigdy nie zdołał tego powtórzyć i zrobić lepiej.

Arcydzieło – wiadomo – jest w swej doskonałości niepodrabialne i nieodwoływalne. Jedyne. Jerzy Stuhr tworzył arcydzieła sztuki aktorskiej w obszarze, który zwykliśmy uważać za jakoś niższy i niegodny tego, by pisać o nim w pośmiertnych wspomnieniach, akademickich analizach i encyklopedycznych hasłach. Ale przecież to właśnie tu, w tym zakresie dowodził swojego mistrzostwa najpewniej i najpełniej. [...]

\*\*\*

**Michał Walkiewicz** tak oto opisuje nowe polskie filmy kryminalno-komediowe, które zagościły na ekranach kin i telewizorów („Tygodnik Powszechny”, numer 26/2024):

*Pierwsza minuta seans, druga linijka dialogu: „Wolisz zginąć od strzału w głowę czy od strzału w odby?”.*

*To mój rekord, jeśli chodzi o gorzką autorefleksję, że tylko głupiec robi wciąż to samo i oczekuje innych rezultatów.*

Poszedłem na uroczystą premierę filmu „Wieczór kawalerski” zaintrygowany hasłem promocyjnym: „Kto dotrwa do rana?”. Sam ledwie dotrwałem do napisów końcowych. I to jedynie z szacunku dla ekipy filmowej, która ze sceny cementowała najbardziej kuriozalne kryterium oceny sztuki, to jest ilość włożonej w niej pracy. Cios poniżej pasa, ale niech im będzie. Pretensje mogą mieć tylko do siebie. Jeśli bowiem współczesne polskie komedie czegoś mnie nauczyły, to przede wszystkim tego, że nie ma takiego dna, w które nie dałoby się zapukać od spodu.

Pytanie, kto puka tym razem, nie ma w zasadzie znaczenia. Z kronikarskiego obowiązku wspomnę, że jest to debiutujący reżyser i scenarzysta Szymon Gonera – choć jego równie udana „Dziewczyna influencera” weszła do kin wcześniej, nominalnie jest drugim filmem. Ważniejsza od samego „Wieczoru kawalerskiego” wydaje się jednak tradycja, w którą film się wpisuje; typy bohaterów zaludniających ekranową rzeczywistość; socjologiczna refleksja, z którą zostajemy po seansie. Z wszystkich tych czarujących cwaniaków, elokwentnych gangsterów, filozofujących striptizerek i cynicznych menadżerów średniego szczebla układa się nowy poczet książąt Polski. Wspólnie napędzają nasz nowy gatunek narodowy, czyli komedię patologiczno-

aspiracyjną. To wielka autotematyczna opowieść o Polsce w pościgu za Ameryką.

Albo o tym, że wynalezienie kamery mogło być błędem.

### Na bank się nie uda

Młodszy księgowy i jego koleżanka, korporacyjna harpia z bilonem zamiast mózgu, kradną sto milionów złotych. Droga do raję jest wyboista – pieniądze trzeba wyprać i ukryć, a sąd udobruchać roczną odsiadką. Po drugiej stronie Wisły sfrustrowani pracownicy Banku Narodowego też podprowadzają z kasy sto milionów, tyle że euro. Jako że przykrywką ich skoku jest pandemiczny chaos, nadają sobie adekwatne ksywki: „Wirus”, „Sars” i „Covida” (szkoda, że nie „Zeitgeist”). Na Podhalu kolejna kradzież – z policyjnego depozytu znika 120 kilogramów marihuany, jacyś żartownisie podmienili ją na ziołową herbatkę. To jest Polska. Wszyscy kradną. [...]

Z grubsza wygląda to tak: bohater, najczęściej otoczony bandą kumpli, usychający w martwym związku, albo na mocy klasycznej komediowej kliszy wzięty za kogoś innego, postanawia żyć pełną piersią. W konsekwencji wchodzi na kurs kolizyjny z typami spod ciemnej gwiazdy i po szerokiej, narracyjnej pętelce wraca do nudnego, bezpiecznego życia. A podczas gdy chłopaki zajmują się okradaniem bogatych i pogardzaniem biednymi, bohaterki-czirliderki błąkają się po opłotkach fabuły.

Nerwowy, Wolf, Czarny... Pseudonimy gangsterów sugerują, że żarty się skończyły. Nic dziwnego, skoro w ich biblioteczkach znajdziemy wyłącznie literaturę minorowych nastrojów. Boss mafii z „Furiozy” Cypriana T. Olenckiego wiedzę o międzyludzkich relacjach czerpie z szekspirowskiego „Juliusza Cezara”. Płatny cyngiel-mizantrop z „Pitbulla. Niebezpiecznych kobiet” Patryka Vegi namiętnie cytuje Schopenhauera – wie doskonale, że „w życiu jest się skazanym albo na samotność, albo na pospolitość”. Z kolei bandzior z „Wieczoru kawalerskiego” lubi pogadac o psychologii Paulu Ekmanie oraz jego teoriach ekspresji ruchowo-mimicznej.

Odpowiedź na pytanie, co łączy tak różne filmy i tak odległych pisarzy, jest oczywista. To przeświadczenie scenarzystów, że uszlachetnianie „kina rozrywkowego” można prowadzić po linii najmniejszego oporu. Że wystarczy zasygnalizować jakiegokolwiek ambicję, dorzucić kilka popkulturowych cytatów i zasłonić się frazą o „bezpretensjonalnej rozrywce”, by cała ta dresiarzka mitologia ułożyła się w jakąś niezawodną – artystycznie i finansowo – konwencję. Tyle że, mimo upływu lat, jakoś ułożyć się nie chce. [...]

**Gazeta Kulturalna**  
Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

Wydawca i redakcja: DOM KULTURY 97-425 ZELÓW, ul. Kościuszki 74, tel. (044) 6341098; 504630543; e-mail: andrzejdebkowski@wp.pl www.gazetakulturalna.zelow.pl

Redaktor prowadzący – **Andrzej Dębowski**.

**Współpraca:** Józef Baran, Małgorzata Dębowska, prof. Ignacy S. Fiut, Joanna Friedrich, Andrzej Gnarnowski, Kazimierz Ivosse, Stefan Jurkowski, Eugeniusz Kurzawa, Adam Lewandowski, Sławomir Łuczyński, Barbara Medajska, Janusz Orlikowski, Stefan Rusin, prof. Maria Szyszkowska, Andrzej Walter, Tadeusz Zawadowski.

**Współpraca techniczna:** Małgorzata Kotala.

Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów. Zastrzega sobie prawo do skracania artykułów oraz zmian tytułów nadsyłanych tekstów bez uprzedniego powiadomienia autora. Skład: Andrzej Dębowski. Druk: „TAGRAF”, 98-113 Buczek, Bachorzyn 13, tel. (043) 677-41-56.